Wydane do kontroli periodyków
Miejskiej wypożyczalni książek
dla dorosłych
dn. ____ 19__ r.

W numerze: MAURYCY JAROSZYŃSKI: **Jeszcze o autonomii szkoły i nauki**

Cena 15 zł. 12 stron

KUŹNICA

Rok III Łódź, 27 maja 1947 r. Nr 21 (90)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

„Ani dziennikarstwo, ani sztuki, ani ludowa kwestia nie rozwijają się dość szybko, aby poezję polską zwolnić od służb i atrybutów czasowo jej właściwych, ani znowu jeszcze są tak słabo poczynającymi, aby się jej nie dawały uczuć".

Cyprian Norwid

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA
PISARZE CZESCY W POLSCE

MIECZYSŁAW JASTRUN
NORWID — POETA NIEZNANY

LEON SCHILLER
JULIUSZ OSTERWA

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI —
POWIEŚĆ AMERYKAŃSKA

DZIENNIK ARYSTOKRATKI
(OPR. W. ŁUKASZEWICZ)

KAZIMIERZ BRANDYS —
SAMSON (I)

MAURYCY JAROSZYŃSKI
JESZCZE O AUTONOMII SZKOŁY I NAUKI

JAN SZCZEPAŃSKI —
TRAKTAT O OPINII

ANNA KAMIEŃSKA —
KRONIKA FRANCUSKA

KANDYD —
TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK

PRZEGLĄD PRASY

NOTY

Pisarze czescy w Polsce

Od paru dni gości w Polsce przybyła na zaproszenie rządu RP i podejmowana przez Związek Zawodowy Literatów Polskich oraz przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki grupa pisarzy czeskich i słowackich.

Podczas parotygodniowego pobytu w naszym kraju nasi goście z Czechosłowacji odwiedzą główne polskie ośrodki życia kulturalnego—Kraków, Warszawę, Łódź, Śląsk i wybrzeże, gdzie spędzą czas nieco dłuższy. Odwiedziny pisarzy czeskich i słowackich są doniosłym faktem kulturalnym, pierwszą wizytą tego rodzaju od wielu lat. Stanowią jeden z pierwszych owoców wielkiej przemiany w stosunkach polsko - czeskich i pierwszych przejawów bliższej współpracy kulturalnej między obu naszymi krajami. Odwiedziny czeskich i słowackich kolegów będące rewizytą po pobycie pisarzy polskich podejmowanych tak gościnnie w r. ub. w Czechosłowacji cały polski świat pisarski wita z głęboką radością i wiarą jako ważny etap we wzajemnym poznaniu i zadzierzgnięciu węzłów serdecznych przyjaźni, jako źródło dalszej, obustronnej wymiany wartości pióra i myśli.

Pisarze czescy, którzy przybyli do Polski, są wybitnymi reprezentantami współczesnej literatury czeskiej. Przybyli do nas:

FRANCISZEK HALAS, poeta (ur. w 1901 r. w Brnie), autor kilkunastu tomów wierszy wydanych w latach 1930—1945, z których najwybitniejszymi są: „Kogut płoszy śmierć" (1930), „Twarz" (1931), tom nagrodzony czeską nagrodą państwową, „Stare kobiety" (1935), „Naoścież" (1936), „Tors nadziei", zbiór, który zawiera wiersze powstałe na tle tragicznych przeżyć narodu czeskiego w r. 1938 oraz cykl wierszy poświęconych pamięci wybitnej działaczki czeskiej, Bożeny Niemcowej. Twórczość Halasa cechuje duża odkrywczość w dziedzinie stylu i zamiłowanie do rzadkich form językowych oraz silne akcenty społeczne. Poeta przeszedł trudną drogę awansu społecznego i jest obecnie czołowym przedstawicielem czeskiej liryki. Po wojnie zajmuje stanowisko dyrektora departamentu wydawniczego czeskiego Ministerstwa Informacji.

MARIA PUJMANOWA (ur. w 1895 r. w Pradze), powieściopisarka i poetka. Główne jej utwory to „Pod skrzydłami" (1917) — cykl wspomnień z dzieciństwa, spędzonego w atmosferze mieszczańskiego domu w Pradze, „Pacjentki dr. Hegla" (1931) — powieść o kobiecie, walczącej o swą pozycję społeczną, a przede wszystkim „Ludzie na rozdrożu" (1937), powieść, która uzyskała czeską nagrodę państwową, dzieło, dające szeroki przekrój społeczny życia czeskiego w okresie międzywojennym, pełne wiary w przebudowę społeczną w duchu socjalistycznym. M. Pujmanowa jest także autorką cyklu reportaży z podróży do Związku Radzieckiego w r. 1932. Twórczość pisarską łączy ze stałą działalnością publicystyczną na łamach czeskich pism literackich.

A. C. NOR (ur. w r. 1903 na Śląsku, właściwe nazwisko Józef Kawan), powieściopisarz, felietonista i dziennikarz, jest jednym z najpłodniejszych współczesnych pisarzy czeskich, autorem, który w ciągu 17 lat napisał 29 książek. Główny walor jego powieści, z których pierwsze przyjęte były entuzjastycznie przez czeską krytykę, stanowią opisy życia chłopskiego i elementy regionalne. A. C. Nor jest autorem typu powieści popularnej, dla szerokich mas.

WACŁAW ŘEŽAC (ur. w 1901 r. w Pradze, właściwe nazwisko Wonawka) jest powieściopisarzem i autorem książek dla młodzieży i kilku scenariuszy filmowych. Główne jego powieści — „Siew na wietrze", „Ślepa uliczka", „Czarne światło", „Świadek", „Granica" — powstały w latach 1935 — 1944. Cechuje je przewaga problematyki psychologicznej.

Literaturę słowacką reprezentują w grupie przybyłych pisarzy PAWEŁ BUŇČAK (ur. w r. 1915), poeta, autor 2 tomów wierszy wydanych w latach 1941 i 1946, od r. 1945 redaktor centralnego organu Kom. Partii Słowackiej „Prawdy" i dr. RUDO BRTAŃ (ur. 1907), peta, tłumacz, krytyk i historyk literatury, autor studiów na temat literatury słowackiej i wybitny znawca słowackiej poezji modernistycznej.

Przybywających do nas pisarzy czeskich i słowackich witamy z uczuciem wielkiej radości, głębokim przekonaniem, że zarówno dla nich poznanie Polski i polskiego świata pisarskiego, jak dla nas zetknięcie się z nimi, stanie się źródłem trwałej i głębokiej przyjaźni.

MIECZYSŁAW JASTRUN

NORWID — POETA NIEZNANY

*M*ILCZENIE, towarzyszące twórczości Norwida za życia poety, było szczelniejsze jeszcze, jeszcze bardziej bezwzględne od ciszy, w którą padały utwory Słowackiego. Pośmiertne losy dzieł Norwida mają również wyjątkowo zawiłą i trudną historię. Wydobycie poezji Norwida z zupełnego zapomnienia odbyło się w okresie szczególnie nie sprzyjającym. Interpretacja jego dzieł, dokonana przez odkrywcę ich, Miriama, nosi na sobie piętno „Młodej Polski", okresu złego smaku i nieporozumień. Niech to raz wreszcie wyraźnie będzie powiedziane. Miriam, jeden z prawodawców ówczesnej estetyki, mimo swych parnasistowskich zamiłowań, był przecież nieodrodnym synem tej epoki, która liryce polskiej niewiele dobrego dała. „Chimera" przy wszystkich swoich zaletach była córką secesji. To określenie wystarczy. Komentarze Miriama i jego następców nie miały w sobie naukowej skromności komentatorów Dantego, wszystkie bodaj były nastrojone na ton najwyższy, entuzjastyczny, wszystkie rozwodziły się na temat „głębi", często rzekomych, nie siliły się jednak pokazać Norwida — poety, wyjaśnić, na czym polegało nowatorstwo, nie przywoływały na pomoc historii, owej „współczesności niestatecznej", którą tak karcił poeta.

W okresie poprzedzającym drugą wojnę tę odziedziczoną po „Młodej Polsce" przesadną lub błędną interpretację Norwida starali się niektórzy działacze obozu sanacyjnego połączyć z tendencjami faszyzującego reżymu. Ale historia nie dała się wziąć na kawał, umie on bowiem nie tylko „łamać kości", umie również tworzyć nowe fakty.

Sąd o twórczości Norwida nie jest jeszcze nie tylko ustalony, można by śmiało powiedzieć, nie jest jeszcze nawet zarysowany. Olbrzymie luki w badaniach historycznych nad czasem, w którym żył poeta, niechęć polonistów do socjologii i historii, przy szczególnym zamiłowaniu do idealistycznych uogólnień—wszystko to nie sprzyja gruntowniejszemu poznaniu dzieł poety i określeniu stanowiska jego w dziejach literatury naszej.

W tym szkicu, który nie rości sobie najmniejszych pretensyj do określenia roli Norwida, w szkicu, który jest tylko wyrazem w niektórych utworach Norwida rozmiłowanego czytelnika i poety, chciałbym zaledwie ukazać to, co nas pisarzy przejmuje dzisiaj w tej twórczości, tak nierównej, tak zniechęcającej często i tak zarazem sugestywnej.

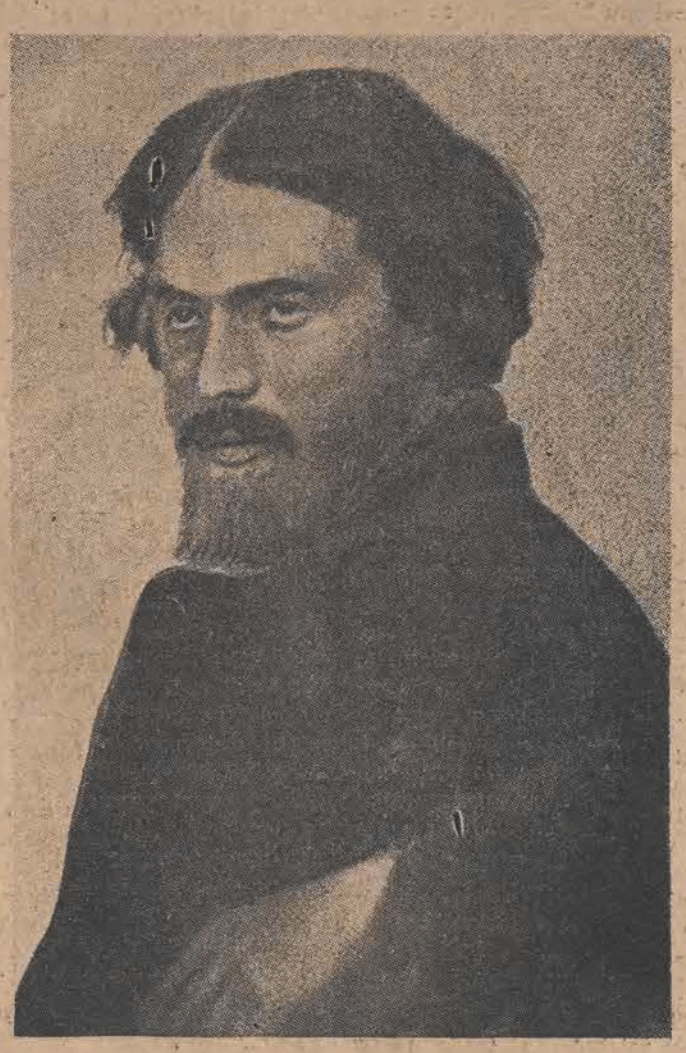

Cyprian Norwid

Początek dojrzałej twórczości Norwida przypada na czas, gdy Mickiewicz jako poeta od wielu lat milczy, gdy Słowacki dogorywa wśród wizyj mistycznych „Króla Ducha".

Poetyka Norwida w stosunku do gorących i patetycznych iluminacyj Słowackiego jest pozornie krokiem wstecz, jest z jednej strony odejściem od bujności i przesady romantyzmu ku wzorom klasycznym (nie darmo powołuje się Norwid na Kochanowskiego i tłumaczy Horacego) z drugiej — sztywne łańcuchy zdań poetyki klasycznej i uroczyste frazy romantyczne rozbija Norwid, pozwalając wtargnąć do swojej poezji potokowi mowy potocznej, grubemu i nieokrzesanemu. W stosunku do mowy Słowackiego mamy tu „sprozaicznienie" języka, odarcie go z tych kolorów i blasków, którymi się tak pysznił rewelator romantyzmu polskiego. Zbyteczną zapewne byłoby rzeczą tłumaczyć, że to odarcie języka z krasy było w danym następstwie form rozwoju poezji — krokiem naprzód. Podobnie w pewnej mierze postępowali poeci nowszych czasów, na przykład Apollinaire w stosunku do symbolistów.

Język Norwida nabiera szorstkości i wagi. Zdania jego mają walor rzeźbiarski, ich ciężar gatunkowy jest inny niż ulotnych okresów Słowackiego. Archaizacja idzie tu niekiedy w niedobranej parze ze słownikiem „naukowym" i potocznym. Można by zaryzykować mniemanie, że w tym za-

kresie Norwid wyprzedził niektórych nowych poetów francuskich, ze Superviellem włącznie.

Alić finał nadchodzi: morał i próżniące się szybko kosze,
Z których wylatują pomarańcze, a te rozchwycone są rękami,
Które, objąć nie mogąc całej owocu okrągłości,
Powiększają onegoż wielkość, wytworność i cenę.

Szczęście, widzisz, mój drogi, jest — i ojczyzna — i ludzkość
(Z pomarańcz bierz dowód... azali newtonowe jabłko
Prawd nie pouczyło znamienitych?)

We wierszu „Przeszłość" kategorie czasu przeniesione na kategorie przestrzeni dają niespodziany efekt, poezję praw fizyki:

... Acz nie byłże jak dziecko, co wozem leci
Powiadając: „O dąb
Ucieka w lasu głąb!"
Gdy dąb stoi, wóz z sobą unosi dzieci.

Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek
dalej:
Za kołami to wieś,
Nie jakieś tam coś, gdzieś,
Gdzie nigdy ludzie nie bywali.

wrażenie optyczne jest również głównym motywem wiersza „Krzyż i dziecko".

W „Ogólnikach" prawa rządzące rozwojem artysty wyrażone są w terminach geografii:

Gdy z wiosną życia duch artysta
Poi się jej tchem jak motyle,
Wolno mu mówić tylko tyle:
„Ziemia jest krągła, jest kulista!"

Lecz gdy późniejszych chłodów dreszcze
Drzewa wzruszą i kwiatki zlecą,
Wtedy dodawać trzeba jeszcze:
„U biegunów spłaszczona nieco".

Ponad wszystko wasze uroki,
Ty, poezjo, i ty, wymowo,
Jeden — wiecznie będzie wysoki:
Odpowiednie dać rzeczy słowo!

Wspaniała, łacińska strofa ostatnia formuluje postulat poezji realistycznej, wiernej rzeczom. Owe „rzeczy" u Norwida są kształtem prawdy; wyrażanie prawdy jest obowiązkiem i posłannictwem artysty. Ta prawda nie jest abstrakcją. Norwida pogląd na świat zawiera się w jego katolicyzmie, chrystanizmie, mówiąc ściślej, w którym tkwi cała jego siła i jego dramat. Norwid żyje w czasach gdy socjalizm utopijny ustępuje socjalizmowi naukowemu. Klasa robotnicza dochodzi do coraz pełniejszej samowiedzy. Rok 48-y i rok Komuny Paryskiej, rozwój wielkiego przemysłu, pośpiech cywilizacji technicznej, stawiają poetę przed nową problematyką. Odrzuca ją, protestuje przeciw niej w imię prawdy, która narodziła się blisko dwa tysiące lat przed nim. Odrzuca i zarazem odrzucić nie może. Dlatego w „prawdzie" Norwida są głębokie sprzeczności i zaprzeczenia. W imię humanizmu chrześcijańskiego jest przeciwnikiem rewolucyj i powstań, z drugiej jednak strony wypowiada o dwóch współczesnościach słynne już zdanie, sprzeczne z zasadami integralnego pacyfizmu. Jest przeciwnikiem rewolucyj i powstań, lecz składa hołd poświęceniu i bohaterstwu. Nazwiska Byrona, Mickiewicza, Bema, Kościuszki, Johna Browna, tych wszystkich, którzy walczyli o wolność, sąsiadują w jego poematach z bierną ofiarą bezimiennych Quidamów.

Jest papistą, ale uwielbia Michelet'a. Kontaktuje się z Kamieńskim, koresponduje z Hercenem. Szanuje Krasińskiego, ale w przeciwieństwie do tego bezwzględnego konserwatysty i wstecznika jest jednym z pierwszych, którzy od rozwiązania kwestii chłopskiej uzależniają dalszy rozwój kultury w Polsce.

Na cześć obrońcy Murzynów Johna Browna pisze dwa wspaniałe utwory, w których czytamy następującą strofę:

Tak wy szlachetni, różnego narodu,
Wolności świtów zamknięci orłowie,
Przed czasem zgaśli konspiratorowie,
Młodzieńcy w grobach lub starcy za
młodu,
Zdawałoby się, że czasów zakony
Własnymi łamiąc muskuły i nerwy,
Co potem w dziejach, to czynicie pierwej
Na samych sobie, jak święty szalony,
Wracając co wiek z oczyma błędnemi
Do odpoznania się — w klatce — na ziemi.

Niespokojny humanizm Norwida skazuje go na samotność i „sieroctwo". W wierszu „Czemu nie w chórze" mówi o tych sprawach z przejmującą jasnością:

Śpiewają wciąż wybrani
U żłobu, gdzie jest Bóg,
Lecz milczą zadyszani,
Wbiegając w próg.

A cóż dopiero owi,
Co ledwo wbiegli w wieś.
Gdzie jeszcze ucho łowi
Niewiniąt rzeź!

Śpiewajcież o wybrani
U żłobu, gdzie jest Bóg!
Mnie jeszcze ucho rani
Pogoni róg

Śpiewajcież w chór zebrani!
Ja zmieszać mógłbym śpiew
Tryumfującej litanii:
Jam widział krew!

Krew jest potoczną mową historii. Norwid wie o tym — i boleje. Ma on żywe poczucie historyczności każdego momentu:

... Śnię i czuję jak się tom historii
Zmarmurza.

Mógł być dyletantem w zakresie wiedzy o kulturze starożytnej, niemniej wizja jego jest zawsze sugestywna i dalekosiężna. „Quidam", bardzo nierówny i ciężki do czytania poemat, nagle objawił się nam w czasie okupacji i przemówił jak rzecz współczesna. Grek, Aleksander, przybywa do Rzymu, by szukać prawdy u tamtejszych filozofów. Ginie zamordowany w bójce ulicznej, niby przypadkiem, a przecież jako ofiara fatalności historycznej.

W poemacie „A Dorio ad Phrygium": fenomenalnie wyrażona jest ironia zastoju i wywczasów:

Czasem tylko Żyd jak starożytny obelisk,
Ten sam, co za faraonów, przy drodze stoi
I odpomina wieki — niekiedy bywa,
Że utrafiony pługa ostrzem pancerz
Wyrzuci kmieć na miedzę, a pacholęta
Pobrzmiewają weń — bywa niekiedy
Że w zamkowej tej lub owej sali
(Gdzie owoce suszą) ściemniały portret
Obsunie się wraz z gwoździem, zjedzonym
rdzą...

Tyle dziejów! Historia jako fenomen
Przypadkami się ledwo odpomina.

W urywku „Emil na Gozdawie" znajdujemy taki zdumiewający pięknością i prawdą obraz przełomu historycznego:

Rozum się nie zwie siłą lecz przemocą...
Nad setnie koni dzwoniących rzędami,
Które ze wschodu ongi prowadzono,
Nad lany moździerz, wleczony jeńcami,
Bywało, pakę książek przenoszono:
Środki że inne, gdy ludzie ciż sami...
Społeczny kryształ się inaczej składa,
Nie Mars już Rzymski, ni Scytów wąs kręty,
Lecz czoło, waży i zbliża ogląda.
— Damy, w szerokich sukniach jak okręty,
Dla dowcipnego łagodne sternika,
Czerwony korek miewają u pięty,
Co pod łamiącym się jedwabiem znika.
— Komedia czasów swe odmienia sceny
I wieczna Epos brzmi pieśnią Syreny!

Moment historyczny interesuje jednak Norwida o tyle, o ile staje się kształtem prawdy moralnej. Na współczesne wydarzenia patrzy Norwid oczyma ewangelisty, z rewolucyj, które przeżył, z systemów socjalizmu utopijnego i naukowego nie wyciągnął żadnych wniosków, w przeciwieństwie do Mickiewicza. Jednak poczucie odpowiedzialności za to, co się dzieje i obiektywizm artysty sprawiają, że wbrew swoim konserwatywnym poglądom Norwid w niejednym utworze daje wyraz ideom postępowym swego czasu. Był konserwatystą, a jednak nikt z ówczesnych Polaków z taką siłą nie występował przeciw parafiańszczyźnie rodzimej, nikt nie mówił tak gorzkich obraźliwych niemal prawd szlachcie, która wtenczas reprezentowała naród. Ten pierwszy polski liberalny inteligent ze wszystkimi zaletami i wadami swej warstwy społecznej stale ma na oku ludzkość, pojętą najszerzej w przestrzeni i w czasie. Jest praktykującym katolikiem, ale to nie przeszkadza mu uczcić w słynnym rapsodzie Bema, który był apostatą. Jest pierwszym, jakbyśmy dziś powiedzieli, przeciwnikiem rasizmu. W utworze „John Brown" sławi bohatera amerykańskiego, który

Iż człowieczeństwem dzielił się z
człowiekiem
Krętszy mającym włos, czarne jagody,
Starzec szlachetny i Mojżesz Murzynów
Głowę swą idzie nieść z głowami synów.

Podobny jest jego stosunek do Żydów. Jego niechęć do kapitalistów żydowskich nie przeszkadza mu uczcić ofiary Żydów warszawskich w wierszu „Żydowie polscy". Poczucie jakiejkolwiek nierówności jest mu obce.

Mówi się, że Norwid jest przede wszystkim myślicielem, filozofem. Niesłusznie. Norwid jest przede wszystkim artystą, lecz artystą, dla którego najbardziej interesującym go materiałem jest myśl, refleksja, doświadczenie kulturalne ludzkości. W tym rodzaju poezji świat postrzegany zmysłami nie jest celem, lecz porównaniem. Stąd niechęć Norwida do malarstwa krajobrazowego, którego przerost w literaturze polskiej pierwszy dostrzega i gani, zgodnie ze swą humanistyczną postawą.

Poezja Norwida jest trudna, nie przez nie dość jasne wyrażenie myśli, ile dlatego, że przyjęcie jej wymaga dużego wkładu własnego od czytelnika. Poezja ta nie jest sentymentalna ani żywiołowa. Czytelnik nasz nie lubi zbytniego wysiłku, woli oskarżyć poetę o niezrozumialstwo lub brak piękności. Tymczasem piękność poezji Norwida jest pięknością prawdy doświadczonej. Liczne jego myśli tak są wspaniałe, nowe, prawdziwe, że należałoby je cytować i powtarzać wielekroć. Przypomnę z wielu innych niezapomniany „Język ojczysty":

„Gromem bądźmy pierw, niźli grzmotem,
Oto tętnią i rżą konie stepowe,
Górą czyny!... A słowa? A myśli?... Potem!
Wróg pokalał już i ojców mowę"—
Energumen tak krzyczał do lirnika
I uderzał w tarcz, aż się wygięła
Lirnik na to:
„Nie miecz, nie tarcz bronią języka,
Lecz arcydzieła!"

Albo ów tragiczny w swej treści urywek z „Kleopatry":

Rzadkim jest arcyrzadkim człek, co mówi z człekiem
Tak, iż słychać mówienie treść powiadające —
Jedni albowiem, mówiąc z kimś, na przykład z księciem
O ostrodze książęcej, będą blask jej głosić
Jak słońca tarcz, a przeto oni nic nie mówią
I tylko z kimś gadają, sami nic nie mówiąc,
Przeciwnie, drudzy, niebądź z kim gdy mówią, zawsze
Ze sobą są jedynie w gwarze, nic nie biorąc
Do nich idącej treści ni prawdy, a przeto
I ci milczą... I oto milczenie jest wielkie,
I oto, mówię, cisza jest na świecie — którą
Mędrzec słysząc nie zawsze chce zdradzać lub może.

Cyprian Norwid Studia Zamyślonych

Nieumiejętność czytania wierszy jest tak powszechna, że nie jestem pewien, czy ten rodzaj utworów, dalekich od wszelkiego impresjonizmu, przyjmie się u nas prędko. Wreszcie — zwięzłość i nieozdobność nie zachęcają czytelnika, skłonnego do łatwych wzruszeń.

Zwięzłość stylu Norwida wiąże się ściśle z jego stosunkiem do rzeczy opisywanych. Jest to owa pokora wobec przedmiotu, którą zdobywa artysta po latach pracowitego doświadczenia. Styl Norwida mimo wielkiej jednolitości, przecież mieści w sobie różne odcienie. Są wiersze, w których wszystko pod jego ręką zamienia się w kształt rzeźbiarski, są inne, w których pauzy i przemilczenia stanowią dominantę. Norwid przed Mallarmé'm stworzył własną teorię milczenia. Poświęcił jej cały traktat prozą. Milczenie jest dla niego częścią mowy, nie notowaną w gramatykach, milczenie pojawia się u niego tam, gdzie zachwyt albo uczucie moralnej natury na próżno szukałoby dość silnego wyrazu.

W poemacie „A Dorio ad Phrygium" piękność kobiety wyrażona jest nie przez opis, lecz wyłącznie przez przybliżenia, w sposób bezprzykładny w ówczesnej poezji:

... zwano ją Różą
Iż trzeba było nazwać...
... byłaż nazwana?

Jak gdy kto ciśnie w oczy człowiekowi
Garścią fiołków i nic mu nie powie —

Jak gdy akacją zwolna zakołysze,
By woń, podobna jutrzennemu ranu
Z kwiaty białymi na białe klawisze
Otworzonego padła fortepianu —
Jak gdy osobie, stojącej na ganku,
Daleki księżyc wpląta się we włosy,
Na pałającym układając wianku
Czoło, lub w srebrne ubiera je kłosy —
Jak z nią rozmowa, gdy nic nie znacząca,
Bywa podobna do jaskółek lotu,
Który ma cel swój, acz o wszystko trąca
Przyjście letniego prorokując grzmotu,
Nim błyskawica uprzedziła tętno —
Tak...
... lecz nie rzeknę nic, bo mi jest smętno.

A gdzie indziej o piękności charakteru:

Pani bo jesteś z takiego klasztoru,
Gdzie ścianę z ścianą
Gdy połączono, to cięcie toporu
Za zbrodnię miano.

Nie wymaga — jak sądzę — szczególnego wysiłku zrozumienie zasady, na której Norwid buduje swoje wiersze. Wyobrażenia, którymi posługuje się podporządkowane są treści intelektualnej utworu. Myśl nowa, która jednak wynika z długiego doświadczenia, myśl, w której załamują się odblaski wieków i kultur, we właściwym czasie powiedziana, sama, bez żadnej ozdoby, staje się poezją.

Piękno cyklu „Vade mecum" całe polega na tej ostrości intelektualnego widzenia. Norwid odpycha świadomie łatwy wdzięk i łatwy patos. W „Pięknie czasu" mówi:

Powab i grzmot, dwie siły
Skądkolwiekbądź by były
To dwa wdzięki Uranii, dwa jej ramiona.

W utworze „Dedykacja" wykłada tę myśl jeszcze dobitniej i świetniej:

Niech dziwowłose Partenopy
Lub rozkoszne niechaj dzieweczki
Pod swoje pląsające stopy
Zgarniają muszle i kwiateczki.
Niechaj cenią rym, ile chwalny,
Ile błogą wiejący wonią,
By odepchnąć grzmot prawdy walnej
Niech w dzwoneczki fiołków dzwonią.

Nie wiadomo co bardziej podziwiać w tej strofie. Jej idylliczny ton zaledwie zakłócony ironią, jej lekkość, która tu jest w zamierzeniu poety krytyką poezji powabnej, jej czystość rysunku i dźwięku...

To, że Norwid jako artysta jest nam o wiele bliższy niż romantycy, wynika z jego postawy intelektualnej, racjonalistycznej, z obecności w jego wierszach podwójnego spojrzenia ironii. Nadmierny patos wierszy romantycznych tu tłumiony jest, rozbrajany jakimś nagłym prozaizmem, skrzywieniem zdania, przemilczeniem, pauzą. Mimo, że niektóre utwory Norwida zo-

stały spopularyzowane, (nawiasem należy dodać, że szkolna lektura „Promethidiona" w obszernych wyjątkach przynosi raczej szkodę) Norwid jest nadal poetą nieznanym. Przekonałem się o tym między innymi z licznych rozmów z ludźmi różnych sfer, zainteresowań i różnego wieku. Nawet pisarze, nawet poeci rzadko znają więcej nad kilka jego utworów. Jest to zjawisko szczególnie przykre wobec niewątpliwego — w stosunku na przykład do literatury francuskiej — ubóstwa naszej poezji. Porównajmy znajomość literatury Młodej Polski ze znajomością pism Norwida w szerszych kołach czytelniczych. Skutki tego stanu są żałosne dla naszej kultury. Czerpiemy ze wzorów najgorszych, z obawy przed trudem sięgnięcia do źródeł czystych, lecz nie na powierzchni pulsujących. Który z prozatorów naszych wyciągnął wnioski dla siebie z „Czarnych i białych kwiatów"? Który z poetów nie zadowolił się naśladownictwem raczej maniery Norwida, kto — żeby użyć porównania autora „Vade mecum" czerpiąc z tego źródła nie nachylił się więcej, niż nachyla się człowiek pijący ze źródła? Krytyka polska — z bardzo nielicznymi wyjątkami, wśród których Wacław Borowy zajmuje miejsce najznakomitsze, nie umiała pokazać wielkości tego poety. Nie umiała powiedzieć prawdy, całkowitej o Norwidzie. Pod tym względem nie jest lepiej niż za czasów poety, tyle tylko, że zaczęto z równym zapałem chwalić to, co dawniej ganiono. Krytyka u nas nie ma nawet przeczucia tego, czym jest i czym powinna być poezja. Kiedy chwali czy gani jednako jest nieinteresująca skostniała zarówno w swym konserwatyzmie jak i wyłażeniu ze skóry własnej, by nadążyć za współczesnością. Na szczęście poeci do-

Cyprian Norwid — Opowiadanie

cierają do czytelnika o własnej sile, wcześniej czy później! Należy wyraźnie powiedzieć, że Norwid jest pisarzem niesłychanie nierównym, że wiele jego utworów obfitujących nawet w piękne fragmenty nie nadaje się w ogóle do lektury. Muszą je czytać specjaliści, lecz po dokonaniu tego zabiegu niech nie mówią nam, że to warte jest przeczytania, na przykład „Pieśni społecznej cztery stron". Z drugiej zaś strony niech pokażą na czym polega wspaniałość licznych utworów, na przykład z cyklu „Vade mecum", zamiast mówić o „duchu" poezji Norwida tajemniczo i szeptem jak lud, gdy mówi o duchach. Te rzeczy należy z naciskiem podkreślić. Poezja u nas ciągle jeszcze jest pojmowana zbyt jednostronnie. Zły urok i kiepski Młodej Polski, jak to już na początku tego szkicu wspomniałem, ciąży na wszystkich sądach krytyków zwłaszcza starszego pokolenia. Należałoby życzyć sobie dla dobra poezji polskiej, by z Norwida nie usiłowano robić któregoś tam z rzędu wieszcza. To zupełnie zbyteczne. Wachlarz poezji Norwida jest na tyle rozciągły, od uroczego wiersza „W Weronie" po surową zwięzłość godną Tacyta „Lauru dojrzałego" lub wspomnianej tu już elegii „Do Bronisława Z", że nie ma powodu szukać dla Norwida nieprzystających do niego określeń, do niego — satyryka i ironisty. Nie zamykajmy życia Norwida w romansie nieszczęśliwym z panią Kalergis i w żałosnej odtrąconej miłości do Marii Trembickiej.

W rysunkach i akwarelach Norwida jest kilka pięknych aktów kobiecych, w późnym poemacie miłosnym „Assunta", „Córka ogrodnika" tyle ma ciepła i wdzięku, że wychodzi poza strofy jak żywa osoba. Tragiczne życie Norwida, który do końca pozostał samotny, bardziej samotny niż Baudelaire czy Rilke, bardziej nieszczęśliwy niż Leopardi, czeka jeszcze na pióro monografisty.

Ale o ileż ważniejsza dla jutra poezji naszej jest rozumna ocena wartości poezji Norwida, wartości wielkiej i wyjątkowej. Nie aktualizujmy jednak płytko i tanio. Przestańmy mówić o „chorągwi na prac ludzkich wieży", którą zanudzali nas w latach szkolnych specjaliści od ideologii pracy i państwowości. Nie tędy droga, chyba, że chcemy, aby Norwid pozostał nadal poetą nieznanym.

Mieczysław Jastrun

LEON SCHILLER

JULIUSZ OSTERWA*)

„Reszta jest milczeniem" — wyszeptał Hamlet, kończąc tragiczny poemat swego życia.

„Reszta jest milczeniem" szeptał być może Juliusz Osterwa, kiedy musiał pogodzić się z tym, że już ni jednej stronicy do poematu życia swego nie dopisze; że kiedy łzy obeschną i dymy obrzędów żałobnych się rozwieją, być może sądzonym to życie będzie, jeśli nie surowo, to powierzchownie, w jednym i drugim wypadku krzywdząco — bo któż zechce wnikać w tajemnice polskiego artysty teatru, nie efektowne, nie budzące sensacji, we wszystkie jego marzenia, wszystkie podniety do wzlotów i przyczyny upadków, kto zada sobie trud, by odbudować rzeczywistość sprzed 1914 roku i międzywojenną, bez znajomości której trudno mówić o ludziach utalentowanego aktora-reżysera i namiętnego działacza zarazem, ujawniające się przecież w fragmentach jeno i w kształtach nieraz irracjonalnych, logicznie scalić potrafi; kto mając przed sobą chaos pobladłych już, lecz jakże bogatych kolorów, co się składają na obraz twórczości młodopolskiego artysty, domyśli się, że fantastyczny barw tych układ, wynika z konkretnie dającej się określić skali i że w całym szaleństwie „jest metoda".?

Mistyk i idealista czystej krwi, jak się mówi „naturaliter christianus", człowiek który o ile mi wiadomo, nie przeżywał nigdy kryzysu religijnego tak typowego dla nas, jego współcześników; aktywny katolik, którego żarliwa wiara nie zafałszowana żadnym snobizmem zachowała do ostatka prostotę i tkliwość wierzeń dziecięcych; ekstatyk zapatrzony w rzeczywistość transcendentalną, wedle jego przekonania, uzupełniającą i warunkującą sens rzeczywistości empirycznej, jako katolik myślący, wierzył, że ludziom dana została przez Stwórcę swoboda działania na ziemi i póki Rex tremedae majestatis swego Amen nad światem nie wyrzeknie, ludzie i tylko ludzie temu światu kształt nadawać będą.

Musiała zatem gnębić duszę Juliusza Osterwy troska o to, co najbardziej na ziemi ukochał, czemu od lat chłopięcych wszystkie poświęcił siły — troska o losy Sceny Polskiej, ściślej mówiąc — Teatru Narodowego, tego którego wizje wspaniałą odziedziczyliśmy po Wielkich Romantykach, którego metamorfozę w stuleciu naszym ukazał Wyspiański, tego, którego tradycje jeszcze dawniejszych sięgają czasów, tego co natchnień ludowych i dla ludowego pożytku powstał, tego, którego ideał nosi w piersiach każdy rzetelniejszy pracownik polskiej sztuki teatralnej.

Tym smutniej musiał się Juliusz Osterwa z teatrem rozstawać, że zdawał sobie sprawę jak szczupła jest garstka tych co mogliby wziąć na barki ciężar odpowiedzialności wobec Dziejów Teatru; że patrzył na Ojczyznę już wprawdzie odrodzoną i prawdziwie wolną, na masy pracownicze wyjarzmione w niewoli kapitalistycznej, łaknące teatru, tłumnie się doń garnące, samorzutnie ówczesny teatr tworzące, słowem na koniunkturę dla poczynań w wielkim stylu najpomyślniejszą...

I właśnie w chwili, kiedy utrudzony przeżyciami lat ostatnich Mistrz postanowił — mówiąc słowami Wyspiańskiego — „podjąć po raz wtóry ten trud co go zabijał", kiedy kreślił plan wskrzeszenia Reduty, aby budowę przyszłej Sceny Narodowej, jak poprzednio, rozpocząć od podstaw, od warsztatu porządnie wykonywanej roboty aktorsko-reżyserskiej, technicznej i organizacyjnej, od skupienia dokoła siebie ludzi złączonych tą samą więzią ideową, dojrzałych do ofiarnej pracy zespołowej, właśnie w tej chwili nieubłagany Los kazał mu zamilknąć. Pozostały po wielkim artyście ledwie czytelne szkice, zarysy projektów organizacyjnych, ułamki myśli rzucanych w rozmowach... Resztę pochłonęło Wieczne Milczenie.

Co przejdzie po nim do potomności? Co zeń przechowa pamięć szanujących go, miłujących i wdzięcznych za trud heroicznych rodaków?

Pokolenie starszych Warszawiaków zapewne podwójną o aktorskiej sztuce Jego wyda ocenę. Jedni wspominać Go będą najchętniej z okresu pierwszych sukcesów osiągniętych w repertuarze komediowym „Papie", nawet w „Tajemniczym Jamesie". Oczywiście nie zapomną także o bardziej poetyckich kreacjach, w których czarował pięknym gestem i melodyjną dykcją. Ale zdaniem ich to były tylko chwilowe odejścia od gatunku ról, najbardziej pokrywających się z jego zewnętrznymi i wewnętrznymi możliwościami aktorskimi.

Inni nie przecząc, iż po powrocie z Rosji, po zaznajomieniu się z doktryną Stanisławskiego, Osterwa bardzo się pogłębił, a role z zakresu realistyczno-psychologicznego do najwyższej doprowadził doskonałości, czego dowody złożył w „Bracie marnotrawnym", w „Kochankach", „Przechodniu", albo w sztukach Żeromskiego i Szaniawskiego, wystawionych w Reducie, wyżej stawiać będą osiągnięcia w „Księciu Niezłomnym", „Dziadach", „Kordianie", „Mazepie", „Fantazym", „Wyzwoleniu"... Na obronę swej opinii wysuną pierwsi krytycy argument, że we wszystkich wymienionych kompozycjach aktorskich czegoś nie dostawało, za mało w nich było patosu i koturnu, że dbałość o prawdę psychologiczną i o prawdopodobieństwo akcji scenicznej w ogólności łamała miarę rytmiczną wiersza, wyposażała rolę w szczegóły dla istoty poematu dramatycznego, dla jego stylu nieważne, że realista w każdym calu, jakim był Osterwa, postawę realistyczną, chcąc nie chcąc, zajmował w każdym, tworzonym przez siebie widowisku, nawet gdy ono do gatunku fantastycznych, symbolicznych czy idealistyczno-monumentalnych należało. Na to znów odpowiedzą zwolennicy całkiem innego na sztukę teatralną poglądu: „Chwała artyście, który wierny nieśmiertelnym przykazaniom Szekspira, przemyślanym po polsku przez Wyspiańskiego, jeden jedyny ma cel przed sobą: TEATR — ZWIERCIADŁO NATURY. Teatr Hamleta i Konrada w „Wyzwoleniu" budowany, nie Poloniuszowy, nie komediantów ze „Snu nocy letniej", nie bezdusznych, zakłamanych Masek".

Juliusz Osterwa
w roli Konrada w „Wyzwoleniu"
St. Wyspiańskiego

Ci, którzy tak myślą, jako przykład wybornego aliażu realizmu psychologicznego i poezji, przytoczą postać Fircyka stworzoną w równie kunsztownej jak uroczej komedii Zabłockiego. Był to w edycji redutowej człowiek żywcem z epoki stanisławowskiej na scenę przeniesiony, nie kukła w obowiązującej dotychczas manierze stylizowana, nie bufon z rupieciarni z starego teatru wyciągnięty. A przecież mówił wierszem, i to jak mówił, wykorzystując aktorsko wszystkie średniówki, dbając o różnorodność końcówek, zamykając tyrady i dialogi pięknie brzmiącymi kadencjami. A ruchy Jego, którym z punktu widzenia realistycznego nic nie można było zarzucić, czyż nie były ciągłym tańcem? Tak przecież tworzył Mozart, równie o prawdę swego teatru muzycznego, jak i o piękno jego dbały.

Albo Konrad w „Wyzwoleniu"? Można się było z Osterwą o egzegezę niektórych momentów dramatu spierać, każdy jednak przyznać musi, że dopiero on umożliwił nam wysłuchanie ciężkiego i przewlekłego II aktu i dopiero on, właśnie dzięki realistycznej interpretacji sceny z Maskami wiele miejsc ciemnych wyjaśnił.

Podobna rozbieżność zdań da się napewno zauważyć, gdy mowa będzie o reżyserskich zasługach Osterwy. Jedni mistrzostwo jego widzieć będą w arcydziełach realizmu redutowego, w opracowaniach utworów Żeromskiego, Rittnera, Orkana i Szaniaw-

*) Mowa wygłoszona w dniu 13.5 na obchodzie żałobnym ku czci Juliusza Osterwy w Warszawie.

skiego, imponujących prawdą i nienagannym stylem zespołowym, co się wszelkim niezawodnym podobno szablonom i fałszywym tradycjom przeciwstawił.

Inni twierdzą, że apogeum inscenizatorskiej twórczości Osterwy to „Książę Niezłomny", we wszystkich swoich, mniej lub więcej monumentalnych wariantach, to próby realizacji kilku dramatów romantycznych, wreszcie przez wiele lat opracowany, do głębi przemyślany zupełnie oryginalny pomysł inscenizacji Norwidowego „Krakusa", który, niestety, pozostał w tece.

Działalność Reduty z okresu pierwszego pięciolecia, a więc z czasów pełnego rozkwitu, jak wówczas budziła, tak i teraz zapewne budzić będzie niemałe zastrzeżenia. Miał to być teatr awangardowy, zatem najnowszej literaturze służący i, rzecz jasna, ukazujący te dzieła w najnowszej formie. Oczekiwano kopii Tairowa lub Meyerholda, paryskiej Grupy Pięciu czy też niemieckich ekspresjonistów. Szykowano się na obcowanie z Cloudel'em, Marinettim ,Cocteau, Kaiserem albo Haseneleverem.

Tymczasem Osterwa zademonstrował na swej scence realizm bodajże najstarszego gatunku, lecz po raz pierwszy w Polsce doprowadzony do tej doskonałości, do tak precyzyjnego wykończenia, do nienagannej harmonii zespołu aktorskiego, do promieniującej zeń prawdy i siły. Osterwa uśmiechał się, gdy mu ktoś brnięcie w naturalizm czy stanisławszczyznę zarzucał. Mówił, że nie lekceważy wszelkich formalnych eksperymentów i że nie zarzeka się inscenizowania literatury, przeciwstawiającej się realizmowi psychologicznemu, sądzi jednak, że należy wprzód aktora do takich prób wenętrznie i technicznie przygotować, należy go przede wszystkim oduczyć kłamstwa, wyleczyć z nieznośnych szablonów i przeklętego „publikotropizmu", to jest automatycznego, napół świadomego kokietowania widowni efektami, pobudzającymi ją do oklasków. Kto chce komponować monumentalne malowidła dekoracyjne, musi wpierw opanować technikę malarską wszechstronnie, musi — rzecz najważniejsza — długo i rzetelnie studiować naturę.

Tego uczył Osterwa młodzież skupioną w Instytucie Reduty i starych aktorów, którzy tu przychodzili leczyć się ze swych chorób artystycznych i nałogów.

Życie dowiodło, że słuszność była po jego stronie. Wszystkie bowiem eksperymenty formalne, jeśli nie były oparte na tak solidnych podstawach technicznych, jakie umiała tworzyć Reduta, lub jeśli zespół aktorski składał się z samych „udawaczy", artystów przedstawiających swoje role z myślą o sukcesie swoim, nie zaś z takich, co role swoje przeżywają, bez względu na jakikolwiek sukces — wszystkie próby tego rodzaju załamywały się u nas wprędce i nie wiele z nich było korzyści.

Nie były słuszne ataki na Redutę za jej repertuar jednostajny i nie dość ciekawy. Osterwa uważał za swój obowiązek, by prowadzony przezeń malutki teatrzyk był bastionem dramatyki polskiej, która na kupiecko prowadzonych ówczesnych scenach nie posiadała tych przywilejów, jakie jej dziś przyznano. Jeśli teatr ten, pierwszy w Polsce, wystawił dramaty Żeromskiego, jeśli kredyt wyrobił Szaniawskiemu, jeśli sztuki Rittnera i Orkana ukazał nareszcie we właściwej oprawie scenicznej — to chyba dowiódł swej pożyteczności. Jeśli nie plamił się kolportowaniem tandety sporządzanej przez ulubionych farsopisarzy czy sztukorobów krajowych — to również należy mu to za zasługę poczytać.

Jeśli w poszukiwaniu nowych form dramaturgicznych nie zawsze szczęśliwego dokonywał wyboru — wybaczyć mu to trzeba, taka bowiem „Ulica dziwna" inscenizowana przez malarza-reżysera Dobrodzickiego, przeprowadziła aktorów redutowych przez nader skomplikowane ćwiczenia gestyczne, które się im w dalszej pracy bardzo przydały.

Cóż mówić o wskrzeszonych w Reducie po raz pierwszy staropolskich widowiskach ludowych, o „Pastorałce" lub o Misterium Wielkopostnym i Wielkanocnym! Śmiało dziś twierdzić można, że były one etiudami wstępnymi do „Dziadów", „Kordiana", „Samuela Zborowskiego" i tylu innych inscenizacyj polskich dramatów monumentalnych, inscenizacyj zrywających raz na zawsze ze stylem operowym, niesłusznie powołującym się na Meiningenczyków czy Reinhardta.

W kształt sceniczny ujęte po raz pierwszy w Reducie pieśni staropolskie i ludowe spod pyłu zapomnienia wyciągnięty „Nowy Don Kichot" Fredry i Moniuszki, widowiska, których sceniczności nikt się nie domyślał, dowiodły, że realizm ugruntowany na szczerości przeżycia aktorskiego nie jest wrogiem poezji, muzyki czy stylizacji plastycznej, że tworząc na scenie postaci w życiu potocznym niespotykane, nawet dziwaczne, nie musimy ich koniecznie marionetyzować czy też wręcz dehumanizować, że rytm muzyczny nie wyklucza bynajmniej skrajnie realistycznej gry, byleby się ona w jego ramach mieściła.

Taką to uczelnią wszechumiejętności teatralnych, na wiele lat przed powstaniem PIST i dzisiejszej WST była Reduta, najukochańsze i najważniejsze dzieło Juliusza Osterwy.

Jeszcze jeden zarzut stawiano Reducie i kto wie czy go kiedyś ktoś znowu nie podniesie. Twierdzono mianowicie, że się Reduta odgrodziła od życia społecznego, od jego aktualnych zagadnień i ślepa na okrutną niedolę chłopa i robotnika polskiego w czasach owych, zamknęła się w pięknoduchawskiej kapliczce, częścią wzorowanej na organizacji wolnomularskiej, częścią na klasztornej.

To prawda, że tematyka i problematyka literatury proletariackiej nie stanowiła przedmiotu studiów redutowych i że Reduta ani jednego utworu o treści społecznej nie wystawiła — trzeba jednak wziąć pod uwagę, że literatura taka prawie w Polsce nie istniała, że znacznie później dotarła ona do nas z zagranicy i że nawet wtedy ważył się na wprowadzenie jej do teatru mieszczańskiego jeden zaledwie reżyser, a wiadomo jakie stąd wynikły konsekwencje.

Nie jest jednak prawdą, by Reduta izolowała się od społeczeństwa, zwłaszcza od jego warstw uboższych. Mimo, iż nie istniała jeszcze w Warszawie utworzona przez związki pracownicze agencja teatralna, Reduta za bezcen sprzedawała swoje spektakle organizacjom robotniczym i inteligenckim.

Społeczny walor posiadały wszystkie niemal jej spektakle, dzięki soczystemu i jędrnemu realizmowi, który je cechował, dzięki swej prostocie i łatwej czytelności.

Ludowym, prawdziwym ludowym teatrem stała się Reduta wówczas, gdy pierwsza w Polsce na wielką skalę zorganizowała podróż po całej Rzeczypospolitej, gdy od miasteczka do miasteczka wędrując karmiła zapomnianą przez Boga i ludzi inteligencję i biedotę miejscową piękną staropolską poezją i muzyką zmieszaną z płodami natchnienia chłopskiego, a później — jak o tym marzył Słowacki — „Księciem Niezłomnym". Społeczną wagę i to niepoślednią — miało też wychowanie redutowe, surowe co prawda, lecz kierowniczym ideom instytucji całkowicie podporządkowane, wymagające zarówno od adepta jak od dojrzałego aktora zupełnego wyrzeczenia się osobistych korzyści na rzecz zbiorowo tworzonego dzieła, zatrudniającego artystę przy warsztatach technicznych, robotach inteligentowi na ogół nie miłych, poddające bacznej kontroli moralność zespołu i — o dziwo — utrzymujące w tym zespole stale wysoką temperaturę entuzjazmu.

Społeczna rola Reduty, doniosłość tej roli polegała na tym, że ubogi teatrzyk promieniował na całą Polskę swym szlachetnym idealizmem, że metody jego pracy stały się wzorem dla wszystkich ambitniejszych aktorów i reżyserów i że kadry redutowców na czas pewien poważnie zasiliły różne zespoły teatralne, głosząc dobrą nowinę jakiegoś wreszcie innego teatru.

W czasie okupacji mętne o życiu i pracach Osterwy dochodziły do Warszawy wieści. Mówiono, że przeżywa konwersję katolicką, że stał się bigotem i że zamierza wskrzesić po wojnie Redutę, lecz nie w formie teatru czy studia. Byłoby to raczej stowarzyszenie religijne, czy rodzaj bractwa. Członkami jego mogliby być tylko czynni katolicy, a widowiska przez nich wypracowywane służyłyby jedynie propagandzie katolicyzmu w masach.

I naturalnie kolporterzy tych wiadomości podawali je z uśmiechem sarkastycznym na ustach, pozwalając domyślać się, że albo ma się tu do czynienia ze snobizmem, albo też z zachodem słońca w twórczości wielkiego artysty.

My, którzyśmy lepiej i od dawna Juliusza Osterwę znali, potrafiliśmy odróżnić plotkę od kryjącej się po za nią prawdy.

Przede wszystkim nie mogło być mowy o konwersji, o cudownym nawróceniu w rodzaju tego, jakiego doznali Huysmans, Psichari, Paul Claudel czy Ewa Lavaliere, u kogoś, co, jak wiadomo, od dziecka do ostatnich chwil życia niezachwianie wierzył.

Powtóre ten, który stale propagował ideę teatru niemal religijnego, teatru wszystkich Romantyków naszych, jeśli postanowił dojść do tego ideału przez prace skupioną, od podstaw rozpoczętą i prowadzoną zapewne w ciszy, nie czynił tego dla rozgłosu.

Na decyzję jego wpłynąć mogło także zetknięcie się z pięknym i mądrym życiem monastycznym.

Rasowy człowiek teatru, dla którego sprawa szerzenia przezeń sztuki równie była ważna jak sprawa Jego życia, musiał w dążeniu do częściowej bodaj realizacji swych marzeń powziąć koncepcję takiego właśnie teatru i takiej organizacji, której wysiłkiem teatr ten miał być budowany.

Zapyta ktoś: jakiż związek z nami obywatelami Państwa Ludowego postępowymi demokratami, ludźmi myślącymi kategoriami materialistycznymi, nieufnie odnoszącymi się do idealistycznych, ba, fideistycznych omamień jakiż związek może mieć taki teatr świątynny, czy klasztorny, zdolny zainteresować w najlepszym razie elitę konserwatywnych katolików?

Odpowiemy tak: nie wchodząc w to, czy teatr taki dogadzałby tylko katolikom, czy szerszym kręgom społeczeństwa naszego, stwierdzimy, iż jakąkolwiek ideologię wyznawałby teatr pretendujący do miana teatru dzisiejszego, teatru społecznego, musiałby organizację swą utwierdzić na zasadach głoszonych i wypraktykowanych przez twórcę Reduty: na zespole pod względem ideowym i moralnym jednolitym, z heroicznym entuzjazmem robotę swą wykonywującym, nie traktującym jej tak, jak to czynią aktorzy najmici, przypadkowo skupieni tam, gdzie lepiej płacą lub gdzie łatwiejsza do osobistej kariery droga.

Nie trzeba być znawcą teatru, by wysunąć tezę, że tylko tak ideowo wyselekcjonowane zespoły sprostają olbrzymim zadaniom społecznym, jakie obecny moment dziejowy teatrom polskim narzuca.

Prawdy te zawdzięczamy Juliuszowi Osterwie, przekazuje On je nam niejako w swej ostatniej woli.

Dlatego imię Jego wspominać będziemy z tą samą czcią, jaką otaczamy rozumnych budowniczych Sceny Narodowej — Wojciecha Bogusławskiego i Stanisława Koźmiana.

Leon Schiller

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

POWIEŚĆ AMERYKAŃSKA

Nawet kompetentnym i sumiennym obserwatorom nie jest łatwo zorientować się po sześcioletniej przerwie okupacyjnej co dziś jest na prawdę interesującego w literaturze europejskiej, a co jest przejściową okrzyczaną modą. Francja jak zawsze jest najlepszym punktem obserwacyjnym rynku artystycznego.

Przywożono stamtąd do nas trochę przekładów szlachetnej literatury „ruchu oporu" i sporo wiadomości o egzystencjalizmie.

Nie sądzę jednak, aby to były istotne zjawiska artystycznie płodne i na prawdę interesujące. Nie w nich należy wypatrywać aktualnego nurtu poszukiwań i osiągnięć sztuki europejskiej. Stanowią mimo wszystko margines.

W literaturze „ruchu oporu" z natury rzeczy nie o problematykę artystyczną chodziło. Pisarze mówili to, co trzeba było powiedzieć w związku z walką, nieraz w bardzo niedbały, w najlepszym razie tradycyjny sposób. A i krąg spraw, o których trzeba było mówić, był ograniczony. Jak nakazywała sytuacja.

Literatura egzystencjalistyczna jest uboga i monotonna, afektowana i fałszywa. Intelektualnie bez reszty zrośnięta z tradycją myślową pierwszej ćwierci XX wieku.

Typowe piśmiennictwo aleksandryjskie. Literatura wyrastająca z książek, a nie z życia. Literatura epigonów.

Uboga, bo zainteresowana tylko subiektywnym światem doznań jednostki. Monotonna, bo nie odróżniająca sytuacyj urojonych od rzeczywistych. Afektowna, bo wiecznie głodna „zmagania się ze sobą" jednostki, wieszcząca „trudne życie za 3 grosze", gdzie każde bagatelne, osobiste urojenie wyraża się w krzykliwym „dramacie" pompatycznych frazesów. Fałszywa, bo odwrócona od rzeczywistości i tak kreśląca proporcje spraw ludzkich, by zamiast prostych i jasnych, na prawdę ludzkich i namiętnych, realistycznych i nade wszystko społecznie rewolucyjnych rozwiązań współczesnych trudności świata zewnętrznego, trudności życia społecznego — podsuwać fikcyjne rozwiązania kolizji wewnętrznych, właśnie i koniecznie w niczym nie naruszające istniejącego społecznego stanu rzeczy. Cyniczna literatura tych, którzy szykują reakcyjną dyktaturę i ujarzmienie walczącym o swoje prawa ludziom.

Sądzę, że w zainteresowaniu dla egzystencjalizmu literatura polska nie znajdzie żadnej twórczej podniety. Nie tą drogą nawiąże zerwany przez okupację kontakt z żywym nurtem twróczych poszukiwań europejskiej literatury.

Widoczne to jest właśnie we Francji, która przeżywa łatwy snobizm egzystencjalistyczny. Ale obok zabawnej i dziwacznej mody są objawy prawdziwego zainteresowania literaturą. I wtedy uwaga skupia się na czym innym, na amerykańskiej realistycznej i społecznej powieści. Przeróbki tych powieści grają bez przerwy paryskie teatry. Osobne nieco miejsce zajmują powieściowe manifesty nonkonfirmizmu obyczajowego w rodzaju Henry Millera. Społeczna powieść amerykańska wyrasta z tradycji „spontanicznego realizmu" Dreisera, ze społecznej satyry Sinclair Lewisa i Sherwood Andersona oraz ostrej analizy związków życia wewnętrznego jednostki ze społeczeństwem jaką dali Don Passos i Hemingway. Nazwisko tego ostatniego jest i dziś ciągle żywe. Liczne przekłady jego dzieł natychmiast rozchwytywane. Główna przecież uwaga skupia się na młodszych— będą to Faulkner, Steinbeck, Erskine Caldwell, że wymienię najwybitniejszych, o bardzo zresztą różnych orientacjach filozoficznych i ideowych.W ojczyźnie byli i są zwalczani przez konserwatywną krytykę wyznawców „zdrowego amerykanizmu" i „optymizmu". W Europie powojennej ich prace stanowią źródło zainteresowań artystycznych na prawdę głębokich, często sensacji społecznej i literackiej.

Powieści, które czytałem i sztuki, które widziałem, mówią o bogactwie i różnorodności, o artystycznej odkrywczości i bezkompromisowości tych pisarzy, o czujności i trafności ich społecznej analizy.

Nie ma w nich cienia łatwego, ekspresjonistycznego patosu Uptona Sinclair'a. Przeciwnie, jest bezwzględna surowość widzenia antagonizmów kapitalistycznego społeczeństwa i nędzy losu ludzkiego, odczłowieczenia jednostki w tych warunkach. Ta wizja świata realistyczna i ani na jotę nie uproszczona, sięgająca głęboko w życie wewnętrzne jednostki, pełna namiętnej świadomości moralnej narzuca zarówno współczucie jak i sugestię prostych, jasnych i rewolucyjnych idej społecznych.

I jeszcze jedno — to różnorodność tematyczna, wielość środowisk widzianych przez tych pisarzy od inteligenckich grup intelektualistów aż po rodzinę farmera z południowych stanów czy bezdomnych, wędrownych fornali ze stanów południowo-zachodnich. Nie brak oczywiście środowisk robotniczych, działaczy rewolucyjnych, małych miasteczek i wreszcie wojska. Przykuwające bogate życia, namiętne i pełne myśli, obejmujące szeroko sprawy zbiorowości i historii.

Chciałbym tym krótkim felietonem zwrócić uwagę naszej krytyki i tłumaczy na ową niezmiernie interesującą literaturę. Z racji swej odwagi artystycznej i zawartości społecznej jest ona napewno potrzebna w naszym życiu kulturalnym. Pisarze ci przy tym reprezentują przodujący i literacko nowy gatunek techniki powieściowej, poprzez nich zatem da się nawiązać do tradycji współczesnych europejskich poszukiwań literackich.

Mamy niedobry zwyczaj opóźniać się w naszym życiu kulturalnym. Byłoby dobrze, gdybyśmy dziś nie przegapili właściwego czasu. Gdybyśmy równocześnie z resztą Europy zajęli się tymi amerykańskimi nowościami.

Myślę, że bardziej warto — aniżeli egzystencjalizmem.

Stefan Żółkiewski

Opracował WITOLD ŁUKASZEWICZ

DZIENNIK ARYSTOKRATKI*)

W zbiorach bibliotecznych jednego z rozparcelowanych majątków, wśród starych druków sprzed czterech wieków, wśród cennej literatury broszurowej o treści politycznej, społecznej i kulturalnej minionej epoki, znaleziono frapujący i charakterystyczny „Dziennik" Zofii Niemojowskiej z Marchwacza, obejmujący lata 1917—1930.

Wartość historyczna tego „Dziennika" nie jest wielka. Najciekawsze są lata 1917—1923 i z tego to okresu pochodzą przytaczane przez nas wyjątki. Rzucają one jednakże silny snop światła na życie, nastroje, pogiądy i kontakty arystokracji polskiej podczas działalności Tymczasowej Rady Stanu w roku 1917 oraz na zachowanie się ziemiaństwa polskiego w smutnej pamięci latach 1922-3.

Warszawa, dnia 6 stycznia 1917 roku.

...Mój mąż na zebraniu członków Rady Stanu. Odczyt polityczny Rostworowskiego. Śniadanie w „Bristolu". Kolacja w „Europie" — 223 marki. Ostrygi, Chablis Moutonne, cotlettes de dindon, Chateau Lafitte, Mouton Rotschild, lody... gateau (torcik z migdałami).

Warszawa, dnia 8 stycznia 1917 roku.

Mój mąż od rana na zebraniu. Porobiłam sprawunki. Napisałam na czysto moje tłumaczenie Straszewicza: „Polen und Polinnen". Śniadanie drugie w „Europie": Hutten — Czapski, J. Żychliński... Mój mąż na drugim zebraniu w „Snopie". O godzinie 8-ej wieczorem kolacja w restauracji: „Emipire"... Niezmiernie długa przemowa Piłsudskiego.

Warszawa, dnia 24 stycznia 1917 roku.

Mój mąż zaprosił na śniadanie... Hutten-Czapskiego, J. Żychlińskiego i Z. Chełmickiego. (Hors d'eouvre. Porto. Chateaubriand, Perigord, Steinberger, kompot z brzoskwiń, wszystkiego 65 rubli, Herse, dentysta... czekolada u Loursa... Mowa Wilsona w każdej gazecie inna.

W środę wieczorem manifestacja studentów przed konsulatem amerykańskim.

Warszawa, dnia 25 stycznia 1917 roku.

...Jadłam drugie śniadanie z Dom. Jeżewskim i Hutten-Czapskim. Ten ostatni oburzony (fourieux) z tego powodu, że studenci manifestowali bez jego pozwolenia... Oglądałam mieszkanie na Placu Wareckim. (Napoleona) Sześć pokoi za 2000 rubli. Przymiarka u Hersego. Dentysta. Mój mąż kazał sobie wyrwać jeden ząb mądrości. Wizyta pań Wyganowskich, później Artura. Kolacja w „Europie".

Warszawa, dnia 26 stycznia 1917 roku.

Mój mąż w Radzie Stanu. Śniadanie w „Europie"... Kolacja w „Europie": Z. Chełmski, Czapski, Rostworowski. Sprawa wysłania telegramu do Wilsona przez Radę Stanu. Czapski utrzymuje, że gdy się zatelegrafuje do Wilsona a ignorować się będzie urodziny Wilhelma, cesarz poczuje się tym dotknięty. Kwestia wysłania telegramu do Wilsona w języku angielskim. Podejmuję się przetłumaczyć.

Warszawa, dnia 27 stycznia 1917 roku.

...Przyszli do mnie do nr 102 redagować telegram do Wilsona: Czapski, Rostworowski i Franciszek Radziwiłł. Posiedzenie u dentysty, który mi w dalszym ciągu zatruwa zęby mądrości... Przymiarka u Hersego... Czekolada w „Empirze". Obiad proszony u Beselera... Mój mąż u Beselera mówił z konsulem amerykańskim o telegramie do Wilsona.....

Warszawa, dnia 30 stycznia 1917 roku.

Zebranie plenarne Rady Stanu. Poszłam do dentysty. Kupiłam ciastka itd. Wizyta Zosi Stadnickiej. Drugie śniadanie. Kareta od Józiów. Byłam na żurku Pani Wyganowskiej. Złożyłam jej na dobre cele 25 rubli. Powinszowanie od Adama Szembeka. Liczne adresy do Rady Stanu, między innymi od chłopców z Goleszowa w Piotrkowskiem, którzy po przedstawieniu swych warunków żądają rekrutacji przymusowej. Kolacja w „Europie". Wita się z nami Lago. (Szeptyccy, Rostworowski, L. Górski itd.)

Warszawa, dnia 31 stycznia 1917 roku.

Rano udałam się do dentysty. Przybyła Maria Szeptycka, aby się ze mną zobaczyć. Obiad z Piłsudskim i księciem Eustachym Sapiehą. Dania: hors d'oeuvre, po...ge combre, oeufs brouillés aux oronges, faisan roti, tarte. Vin blanc et vin rouge. Dyskusja o polityce litewskiej.

Kolacja w „Europie". Z. Chełmski. Mróz trzaskający. Wieczorem przenosimy się do numerów 209 i 210. (w Hotelu Europejskim).

Warszawa, dnia 2 lutego 1917 roku.

Z moim kaszlem coraz gorzej. Nie poszłam do kościoła z powodu choroby. Opracowałam przemówienie, które mój mąż wygłosił na bankiecie lekarskim. Samotny obiad w „Bristolu". M. m. m. (marszałek mój mąż) wrócił z bankietu. Five o'clock tea... Samotna kolacja w „Bristolu".

(Obiad dla lekarzy kosztował 728 rubli — 150 lekarzy.

Hors d'oeuvre, potage ,brochet á la Morny, chevreuil, profites vollés. Vin blanc vin roug, vin de Hongrie.)

Warszawa, dnia 3 lutego 1917 roku.

...Zerwanie stosunków dyplomatycznych między Niemcami a Ameryką. Kolacja w „Bristolu". Przedstawia mi się W. Kossak. Jedzie do Pszczyny malować Wilhelma. Zaproszony od Zdzisławostwa Lubomirskich na obiad 11 lutego.

Warszawa, dnia 4 lutego 1917 roku.

...Śniadanie w „Europie". Na moim „jour'ku,': Ignacy Rosner , Hofrat, Born-Fallois, zastępca szefa administracji Kriesa; rano książę Salm, Fürst und Altgraf zu Salm Reifferscheicten und Dych; Henryk Potulicki, prałat Chełmicki, J. Michałowski, książę Fr. Radziwiłł, p. Potulicka, p. Plater.

Warszawa, dnia 13 marca 1917 roku.

Wyjechałam z Marchwacza (do Warszawy) z kucharzem Andrzejem, Heleną (pokojówką) i psem. Dowiedziałam się, że w przeddzień mój mąż przyjął 10 biskupów i że Stanisław Szeptycki został generałem. Rozpakowałam się, umyłam głowę. Zrobiłam po przyjeździe trochę sprawunków i udałam się do Marty Krasińskiej. Przyjęcie niebywałe! Obiecałam pani Wielhorskiej kwestować dla św. Wincentego á Paulo w Wielki Piątek od godz. 4 do 6 pp. w kaplicy na Ordynackiej 4. Księżna Czetwertyńska chce, abym kwestowała u Lardellego na Legionów. Odpiszę, że to niemożliwe. Pan Krzyżanowski z Wilna chce się przedstawić memu mężowi i zapoznać z Radą Stanu. Złożył małe sprawozdanie o położeniu na Litwie. Biskup Bandurski ofiarował na wojsko polskie swój krzyż biskupi i łańcuch.

Warszawa, dnia 21 marca 1917 roku.

Niemcy przyjmują polską formułę przysięgi. Legiony zostają — wielka radość. Byłam na zebraniu filantropijnym u pani Marty Krasińskiej...

Warszawa, dnia 2 kwietnia 1917 roku.

Lerchenfeld przynosi proklamację rządu rosyjskiego, obiecującą Polsce niepodległość. Cała Rada Stanu u nas na kolacji. Nastrój radosny.

Warszawa, dnia 8 kwietnia 1917 roku.

Udaliśmy się mój mąż i ja do św. Aleksandra na Mszę. Na święconym u nas: Czapski, Żychliński, W. Rostworowski, major Nieniewski, St. Rostworowski, Tymowscy, Eustachowie Sapiechowie, książę Włodzimierz Czetwertyński, Piłsudski, Szeptycki, pułk. Sikorski, ksiądz Przeździecki, Dziewulski, Sokołowski, Kaczorowski, książę Franciszek Radziwiłł, pani Pia Górska, Adam Ronikier, Michał Karski, księżna Emanuelowa Czetwertyńska, pani Łoś, Pomorski, Bukowiecki, Jackowski, pani Walewska.

Warszawa, dnia 21 kwietnia 1917 roku.

Na moim „jour'ku": panna Dernałowicz, płk. Berbecki, mjr. Nieniewski, ksiądz prałat Gnatowski, pani Wanda Zamoyska, pan Karol Raczyński, Kazimierzostwo Kwileccy, Alfredowa Chłapowska, Ugron, ksiądz superior Panaś..., Jerzy Mycielski, świeżo mianowany członkiem austriackiej Izby Panów, Michałowski, Marianowa Starzeńska z córką, pani Walewska..., Isia Lubomirska.

Szeptycki mianowany generałem gubernatorem na miejsce Kuka w Lublinie. Na zebraniu w Departamencie Skarbu obrano mnie przewodniczącą Komitetu Ofiary Narodowej...

Warszawa, dnia 1 maja 1917 roku.

Obiad u nas na cześć Szeptyckiego, mianowanego jenerałem gubernatorem lubelskim. Cała Rada Stanu na obiedzie... Na moim „jour'ku: p. Karska, z d. Komorowska, p. Wieniawska, p. Wielhorska, Józ. Żółtowscy, p. Iżycka, Kermenicz, p. Edm. Żółtowski, Kwilecki, Siemieński, Potulicki, Tymowscy, p. Zubieńska, p. Goldstand, Ks. Sapieżyna, Kościelski, p. Walewska, p. Łączyńska, Margrabina, Ksawery Skrzyński, Ks. E. Czetwertyńska, Wł. Czetwertyński, p. Grossmann, p. Pia Górska, Ugron etc. etc.

Poszłam do Dziewulskich aby zawrzeć znajomość z p. Januszajtis. Przed Radą Stanu około godziny 6-ej p.p. manifestacja:

„Precz z Radą Stanu! Niech żyje Konstytuanta!" (Posłać karty Wieniawskim i Skrzyskiemu).

Warszawa, dnia 2 maja 1917 roku.

Wizyta Ks. Hatzfelda i ks. Alexandrowej Lubeckiej. Na kolacji Sig. Chełmski, — po tem Potulicki. — Spleen.

Warszawa, dnia 12 maja 1917 roku.

W Rozmaitościach: „Zemsta" — Przyszli do mojej loży: p. Byszewski z córką i synem, Włodz. Czetwertyński, Eust. Sapieha (dwa razy) J. Żółtowski, Potulicki i Hofrat Rosner...

Warszawa, dnia 13 maja 1917 roku.

Wstałam o godzinie 8-mej rano. O godzinie 9-ej udałam się na Mszę do św. Aleksandra. Przygotowałam deser i kwiaty do przystrojenia stołu. Rozłożyłam na stole kartki z nazwiskami zaproszonych osób. O godzinie 2-giej pp. śniadanie.

Dania: Hors d'oevre — kanapki, sałatka z pomidorów, paszteciki; karp w sosie szczypiorkowym; krzyżówka; pieczeń sarnia; lody z karmelem, deser; wyśmienite wina.

Przy stole: panna H. Plater, St. Rostworowski (legionista), Jerzy Tarnowski, książę M. Woroniecki, pani Sikorska, panna Zofia Potulicka, brygadier Haller, płk. Berbecki, ja, mój mąż, płk. Zieliński, pani Łoś, pani Plater, Sikorski, H. Potulicki, Edward Krasiński, Kościelski, panna Terenia Potulicka. Po obiedzie deklamacja Heniusi, następnie Kościelskiego. Mowa o projektowanej przez Niemców rekrutacji bez Rady Stanu.

Warszawa, dnia 15 maja 1947 roku.

Mój mąż w stanie wyjątkowego podenerwowania. Chwila przełomowa. Wysiałam zaproszenia na śniadanie imieninowe we środę. Mój mąż oświadcza, że przyjęcie nie może odbyć się we środę i w końcu decyduje się przenieść je na czwartek. Odwołuję zaproszenia. Otrzymałam powinszowania. Powódź kwiatów: Kosz róż od Lubomirskiego, kosz tulipanów i róż od Konopki, czerwone róże od Zygmunta, białe róże od pani Plater, żółte goździki i lilie od Dziewulskiego...

Warszawa, dnia 19 maja 1917 roku.

Rano liczni biedacy... dałam 50 marek na biednych pani Wielhorskiej. Piłsudski konferuje z moim mężem. Dziewulski opowiada wiadomość z Wiednia, że Koło Polskie żąda Polski z dostępem do morza. Konferowałam z Potulickim nad moim projektem statku... Poszłam do Frascati. •Strajk akademików, którzy żądają oddania szkolnictwa Radzie Stanu. Inaczej grożą rewolucją. Lubomirski uspakaja...

Warszawa, dnia 22 maja 1917 roku.

Rano był u mego męża Liebermann-Legionista, poseł do Rady Państwa w sprawie uwięzionego Filipowicza... Na moim „jour'ze" ...22 osoby. Na kolacji L. Górski i H. Potulicki.

Warszawa, dnia 25 maja 1917 roku.

Rano u mego męża Ronikier... Pojechałam z księżną Emanuelową Czetwertyńską do Komendy Legionów. Berbecki obiecał orkiestrę na czwartek (wycieczka statkiem), pojechałyśmy na Nowy Zjazd do Komendantury Portowej. Na śniadaniu u nas: W. Borzewska, Karnkowskie i Z. Chełmski. Dania: potage St. Germain oeufs breuillés aux truffes, anguille sauce holandaise, esperges, glace au chocolat. Andrzej (kucharz) ma atak sercowy. Sprowadzamy księdza i doktora. Przyjmuje sakramenty.

Warszawa — drugi dzień Zielonych Świątek, dnia 28 maja 1917 roku.

Udałam się na sumę. Mój mąż poszedł do Konopki. Od rana wysłałam czterech posłańców z zaproszeniami — po południu zaproszenia w dalszym ciągu. (na wycieczkę statkiem po Wiśle). Złożyłam wizytę pani Sapieżynie, później z mężem pani Łoś... Podczas naszej jazdy powozem zauważyłam, że pewien człowiek padł na ulicy z głodu. Mój mąż dał mu 20 marek.

Warszawa, dnia 31 maja 1917 roku.

Wycieczka statkiem, zachwycająca, ponad sto osób, — bola zafundowana przez mego męża, orkiestra 2-go pułku, burza, tańce w kajucie, podwieczorek na statku, zebrano ponad 800 marek na biednych. Mój mąż podnosi z przed naszych drzwi zgłodniałą ubogą i daje jej 20 marek.

Warszawa, dnia 1 czerwca 1917 roku.

Przed naszym domem osłabła z głodu pewna uboga. Nakarmiliśmy ją i mój mąż dał jej 20 marek.

Warszawa, dnia 2 czerwca 1917 roku.

Towarzyszyłam memu mężowi do Rady Stanu. Spotkałam się tam z p. Chłapowską, Czapskim i Żychlińskim. Pojechałam na ulicę Freta nr 10 oddać siostrze Morawskiej 800 marek na zupę dla biednych. Wielka radość, wdzięczność. Z kolei udałam się do Zygmunta, aby zaprosić go na śniadanie. Na śniadaniu: p. St. Skórzewski i Z. Chełmski, następnie Wyganowski. Dałam pewnemu biedakowi kartofle. Wielka radość, wdzięczność. Zaproszenie ks. Sapieżyny na otwarcie wystawy: „Dziecko" w Dolinie Szwajcarskiej. Pojechałam tam. Kazimierzostwo Kwileccy, p. Maryla, Margrabina (Wielopolska) itd. Przed mowienie Eustachego Sapiehy... Zabawa, wesołość. Na „Ratujcie dzieci" dałam 25 marek.

Warszawa, dnia 4 czerwca 1917 roku.

Mój mąż na śniadaniu u Ugrona. Tamże Zdzisław Lubomirski, Al. Lubecki, Jul. Tarnowski, E. Sapieha, Ad. Tarnowski. Byli tu z wizytą Lubeccy i zaprosili nas na śniadanie w środę (6.VI.)... Do mego męża przyszedł Nieniewski w sprawach wojskowych, następnie Konopka. Wielki triumf mego męża: będzie więcej ministerstw dzięki wysiłkom mego męża. Napisałam 12 listów.

Warszawa, dnia 5 czerwca 1917 roku.

Obudziłam się z wielkim bólem głowy. Mój mąż w Radzie Stanu. Sikorski podaje się do dymisji. Niemiecki projekt kontrybucji. Rozbój na otwartej drodze. Mój mąż w furii. Z Marchwacza wynosić to będzie 12.000 marek. Czapski daje 1.000 marek na „Ratujcie dzieci"... Na przyjęciu u mnie: Zofia Goldstand, Józefowie Żółtowscy, K. Kwilecy z siostrzenicą, Jackowski, p. Walewska, hr. Hatzfeld, J. Szołdrski, ksiądz prałat Gnatowski, p. E. Żółtowski, p. Hlasko, p. J. Górska, Potulicki, margrabina, Ganczarski, baron Konopka, Adam Chłapowski.

Warszawa, Boże Ciało, dnia 7 czerwca 1917 r.

Wstaliśmy wcześnie, aby udać się do Katedry. Spotkaliśmy przy bramie Zdzisława Lubomirskiego, który znał już odpowiedź nadeszłą od Bethmann-Holwega. Żądania jego (Lubomirskiego), aby Niemcy dali gwarancję, że przestaną ogładzać Królestwo. Procesja. Do pierwszego ołtarza prowadzili arcybiskupa Kakowskiego mój mąż z prawej strony, Lubomirski z lewej: do drugiego ołtarza — Eustachy Sapieha i Brudziński (rektor); do trzeciego — wicemarszałek Pomorski i Łuniewski; do czwartego — Maj i Stolarski. Ułani konno jechali za procesją. Wróciłam do domu, zgubiwszy mego męża.

Śniadanie u nas: Józek Michałowski, pani Chłapowska J., mój mąż, ja, Władysław Michałowski, panna Pia Górska.

Potrawy: Consommé aux oeufs poches en tasse, petite patés á la cervelle, filets mignons jardinière, entrements excellents espece de souffle de ris, de porres et d'abricots. Napoje: Sudnirant et Moselle mousseux...

Obiad: bisque d'écrevisses, aspic de veau, filet de boeuf, asperges, charlotte russe.

Obecni na obiedzie: Kozłowski, wicemarszałek Pomorski, Juliusz Tarnowski, Władysław Czetwertyński, Rostworowski. Przed obiadem przychodzą do Tarnowskiego: Ugron i Czapski. Niemcy dali gwarancję, że nie ogłodzą kraju. Narada nad nakłonieniem Austriaków do ustępstw w sprawie Legionów... i t. d.

Warszawa, dnia 11 czerwca 1917 roku.

Wielki obiad u Sapiehów... Siedziałam między Sapiehą a Lubomirskim, mój mąż między ks. Sapieżyną a ks. Lubecką.

Warszawa, dnia 19 czerwca 1917 roku.

Kossak chce gwałtem robić mój portret. Pojechaliśmy do Zachęty obejrzeć portret pani Chłapowskiej. Mój mąż u Beselera. Robi bardzo zręczną politykę. Zebranie w Radzie Stanu. Mój mąż wygłosił bardzo dobre przemówienie. Socjaliści zrobili awanturę i wystąpili z Komisji.

Warszawa, połowa czerwca 1917 roku.

Mowa, którą mój mąż wygłosił w Radzie Stanu w połowie czerwca 1917 roku, na posiedzeniu Komisji, złożonej z 6—8 członków Rady Stanu i zaproszonych wybitnych osobistości, między którymi: Adam Tarnowski, prałat Chełmicki, Stecki, Zdzisław Lubomirski, Suligowski, Chmielewski, Eustachy Sapieha; z lewicy: Popiel, Artur Śliwiński.

Tu następuje przerwa w „Dzienniku". Lata 1918—21 zostały przez panią Zofię Niemojowską pominięte milczeniem lub też dziennik z tego okresu zaginął. Wydawca jest w posiadaniu dalszego ciągu „Dziennika", obejmującego lata 1922—23 i 1928—30. Autorka „Dziennika" po opuszczeniu Warszawy wróciła wraz z mężem do majątku Marchwacz w Kaliskim. Dalszy ciąg z wyciągów z „Dziennika" z lat 1922—23 podamy w następnym numerze.

Strona pamiętnika Zofii Niemojowskiej

*) Fragmenty Dziennika Zofii Niemojowskiej, który ukaże się nakładem Spółdz. Wyd. „Książka".

KAZIMIERZ BRANDYS

SAM

Historia Jakuba Golda jest fragmentem nowego tomu prozy.

O GODZINIE ósmej wprowadzili Jakuba Golda do pokoju na drugim piętrze. Dwa biurka z jasnego drzewa, dwie zielone lampy, wiszące nisko na długich sznurach, dwa okna, pelargonie; na ścianie Prezydent i Marszałek. Dużo słońca. Mrugał oczami jak sowa. Starszy szatyn w czarnym garniturze wskazał mu krzesło. Zapytał go, czy wie, gdzie się znajduje. Odpowiedział, że tak. — Więc gdzie? — powtórzył szatyn. — Mam wrażenie że w śledztwie i że pan jest sędzią — mówił z namysłem Jakub. Sędzia skinął głową, jakby z uznaniem. — Pewnie mam być przesłuchany za to, co zrobiłem. Więc niech mnie pan pyta, ja nic nie chcę ukrywać. — Zaraz, zaraz — zaniepokoił się sędzia — tak nie można, trzeba po porządku. O wszystkim będziemy rozmawiać. Czy może pan mi odpowiadać po kolei na moje pytania?

Rozmowa miała w dalszym ciągu następujący przebieg:

— Pańska godność, jeśli wolno wiedzieć?

— Gold. Jakub Gold.

— Data urodzenia, imiona rodziców? Wybaczy pan, to zwykłe formalności.

— Dwudziesty siódmy październik, tysiąc dziewięćset szesnaście. Matka Adela. Ojciec Leon, błogosławionej pamięci. Kupiec, urodzony w P. Cała rodzina tutejsza.

— Tak. Jest pan uczniem szkoły średniej?

— Ma się rozumieć. W gimnazjum Kościuszki. Pan wie: fundacja Orłów.

— Wiem. Bardzo mi przykro, ale muszę pana zapytać, w jakim języku rozmawia się u pana w rodzinie. Pańskie wyznanie jest mojżeszowe, pańska narodowość żydowska, chodzi mi o to, rozumie pan, czy pańskie wychowanie...

— Nie, tak bym nie powiedział. Moje wyznanie jest mojżeszowe, ale narodowość, przepraszam, to całkiem co innego. Narodowość jest polska. I mówi się po polsku.

— Dobrze. Dobrze. Ale jeśli pańska narodowość jest polska, to w takim razie nie rozumiem, dlaczego pan krzyczał w żargonie, kiedy pana zatrzymano. I to słowa obrażające naród polski.

— Co? Ja? Ja krzyczałem?

— Są przecież świadkowie.

— Panie sędzio, ja daję panu słowo, że pan się myli. Wcale nie krzyczałem, coś się komuś przyśniło.

— Pan może nie pamięta, ale są świadkowie.

— Ja nie krzyczałem! Pamiętam wszystko, byłem pijany, kręciło mi się w głowie, ten chłopak złapał mnie za rękę, mówiłem mu, żeby mnie puścił, bo chciałem wrócić do domu. Nic nie krzyczałem, przecież nic nie krzyczałem...

— Chwilkę. Niech się pan uspokoi. Czy pan na prawdę sądzi, że chcę panu szkodzić? Mój Boże, nie zna mnie pan. Muchy nie zaczepię. Wolałbym wypić z panem pół czarnej u Szachistów. A poza tym mam własne zmartwienia, moja żona ma raka w piersi i czeka ją operacja. Tak, tak, niewątpliwie wolałbym siedzieć teraz z panem u Szachistów. Pewnie pan bywa czasem u Szachistów?

— U Szachistów? Ja? Nie, wcale tam nie bywam. W ogóle nie gram w szachy.

— Tak, tak. Bo czy pan myśli, że ja panu nie współczuję? Mój Boże, padł pan ofiarą przypadku, przecież rozumiem: zwykła zabawa z kolegami i trochę polityki.

— Panie sędzio, dlaczego zaraz polityka? W ogóle, wie pan, nie znam się na polityce. Zabawa, to co innego, zabawa — owszem.

— Dziwny z pana człowiek. Polityka nie plami honoru. Dlaczego pan jej się tak zarzeka? Marszałek w pańskim wieku już był na Syberii, a ja, oczywiście bez porównań, w trzydziestym roku życia o mało nie zostałem wiceministrem republiki samarkandzkiej za Kiereńskiego. Życie dziwnie się plecie, co? Jutro kończę pięćdziesiąt lat.

Odpowiedział: — Tak — i dodał, że sędzia nie wygląda na swój wiek. Wtedy sędzia zapytał go, czy zna Wacława Pankrata, i zaczął rysować na bibule koński łeb. Odrzekł, że w gimnazjum Kościuszki był uczeń o tym nazwisku, ale, zdaje się, dawno i nigdy go nie widział. Potem obaj milczeli długą chwilę, sędzia patrzał smutnym wzrokiem na pelargonie w doniczkach; do pokoju zajrzał promień słońca.

— Czy rzeczywiście pan nie zna Pankrata? — zapytał sędzia, jakby z wyrzutem, i spojrzał na Jakuba nagle załzawionymi oczyma. — To mój syn — dodał nie czekając na odpowiedź. — Nawet nie wiem dokładnie, co się z nim teraz dzieje. Kiwał głową i wzdychał rozsiewając delikatny zapach alkoholu, potem spojrzał wokoło z roztargnieniem i powiedział cicho, że dla sprawy byłoby najlepiej wymienić nazwiska kolegów, którzy brali udział w zabawie.

— Rozumie pan przecież — dodał — że ich to nie obciąży. Grób zbeszcześcił pan, nie oni. A mielibyśmy świadków, którzy mogą zeznać okoliczności łagodzące pańską winę. Sam jestem w kłopocie i nie wiem jak panu pomóc. Ten wyrostek, który pana złapał, ta mała kanalia, Kwiecień, to nasz jedyny świadek. Przysięga, że słyszał jak pan obrażał Polskę. Więc co robić? Gdyby pan wymienił nazwiska kolegów...

— Nie — odparł Jakub, kręcąc głową — nie mogę — rozłożył ręce. — Niech mnie pan lepiej powiesi, panie sędzio.

Sędzia zamrugał oczami, potem wstał i podszedł do okna. Był mały i kulał trochę. Założył ręce na grzbiet, przy tym przebierał palcami. Po chwili odwrócił się i powiedział wolno:

— Może pan już iść. Odprowadzą pana. Niech pan pamięta, że nie chciałem panu szkodzić. Niech pan to powie każdemu, ktoby zapytał. Jestem urzędnikiem, ale nie mam serca z lodu. Pańska sprawa jest grząska jak muł i nie chce pan sobie pomóc. Wróżę panu trudności życiowe na przyszłość. Niech pan już idzie. Wolałbym pana nie oglądać więcej u siebie, nienawidzę tych spraw zamulonych przez głupców. Do widzenia, do widzenia.

Wychodząc Jakub zapytał, czy sędzia wie, co z nim chcą zrobić. Odpowiedział, że nie wie, ale w każdym razie trzeba być spokonym i powtórzył swoje: — Do widzenia, do widzenia.

W kwadrans potem Jakub znów znalazł się w celi. Siedział na drewnianym stołku i patrzał, czy nie otworzą drzwi, żeby go wypuścić. Nie umiał oderwać wzroku od miejsca, w którym przekręcali klucz. Ale była cisza, tylko z ulicy dolatywało dzwonienie. Naprawiali bruk, dźwięczały oskardy, młot spadał na kamień. Wtedy podnosił ręce, aby osłonić skronie. Czasem na korytarzu rozległ się czyjś krok i głosy. Jakub wysuwał głowę naprzód i poruszał uszami, bo zdawało mu się, że to o nim mówią i do niego idą. Mój pies zamknięty w pokoju tak samo podnosi łeb, kiedy po schodach przejdzie obcy.

Oto Jakub Gold. Proszę spojrzeć: ma miękką szeroką twarz, z czołem nisko zarośniętym gronami czarnych włosów. W tej twarzy ładne są tylko oczy i usta. Oczy o niebieskawych białkach, wilgotne jak śliwki, i usta koloru surowego mięsa. W tej twarzy zmieści się jego los, który poznamy — krótki i niewinny; kto wie, czy nie położą mu końca ładne oczy Jakuba. Nadejdzie czas, gdy własną śmierć będzie się nosić w ustach, oczach, włosach. Włosy zbyt czarne przyniosą zgubę, jak skrzydło kruka, a oczy nietutejsze wykole cudzy wzrok.

Ściany celi były chłodne. Kiedy przytulał do nich skroń, czuł wilgoć. Tą drogą wchodziła tu wiosna. Przecież siedział dopiero dwa dni, a już był ciekaw, czy dach poprzecznej oficyny na Łąkowej znów błyszczy w słońcu. W zeszłym roku mieszkały tam gołębie, strzelał do nich z korkowca. Matka prosiła go, żeby tego nie robił, powiedziała, że jest takie przysłowie: „Leben und leben lassen". Z tego wynikało, że nie trzeba strzelać do gołębi. Zgodził się. Czy mógłby jej czegoś odmówić? Zrobić jej prawdziwą przykrość? Nigdy. Ręka by mu uschła, a język zamienił się w drewno. To była jego matka.

Zamykał oczy i usiłował sobie wyobrazić, że ona tu jest z nim razem, że oboje siedzą zamknięci, słyszą bicie oskardów o kamień, szmer kropel ściekających po ścianie. Czy byłoby lepiej? Nie umiał tego rozstrzygnąć. A gdyby ją spotkało to, co jego, czy chciałby z nią dzielić nieszczęście? To nie było łatwe pytanie. Jakub ujął głowę w obie ręce i kołysał nią w trosce: czy trzeba zginąć dla swojej żydowskiej matki? Dziwił się, że Bóg w dziesięciu przykazaniach, które objawił Mojżeszowi na górze Synai, nie wypisał wyraźnie: tak albo nie.

W ubiegłym roku przyjechała do miasta Hanka Ordonówna. Od tego dnia mówił do matki: — Moja żydowska mamo. Sala koncertowa była pełna, gdy weszli. Żydzi lubili Ordonównę: w dalszych rzędach siedzieli kędzierzawi subjekci ze sklepów bławatnych i trzymali za ręce swoje dziewczyny. A na balkonach było aż czarno od głów. Kiedy usiedli, Jakub rozejrzał się po sali i zobaczył w loży, za czerwoną kotarą, Tola Szarleja, który z daleka dawał mu znaki. Jakub zaczerwienił się, bo obok Tola siedziała Beata Orlanka z pensji pani Ponte. Twarz Beaty zawsze przerażała Jakuba. Ilekroć spotykał ją na drodze do szkoły, bał się potem swych myśli. Wyobrażał sobie w takich dniach życie w mieszkaniu na Łąkowej, z Beatą zamiast matki. Nie umiał od siebie odpędzić tych marzeń, a dach oficyny, niebo i gołębie wydawały mu się smutne. Zastanawiał się nieraz, czy ona jest piękna, czy można ją tak nazwać. Nie był tego pewny i niepokoił się. Bał się teraz patrzeć z krzeseł w tamtą stronę. Spojrzał ukradkiem na matkę i zwiesił głowę, bo nagle zrozumiał, że jest mała, siwa i zgarbiona. A przecież tego dnia włożyła odświętną suknię z koronkowym żabotem i broszką podobną do chrabąszcza, którą zawsze podziwiał. Zauważył, że w kącie powieki ma kurzą łapkę, a koło ust fałdę, starą i zwiotczałą. Pogłaskał jej rękę i szepnął: — Mamo, czy wiesz? wyglądasz dziś jak królowa Saba. Potem bardzo się śmiał, bo zrobili kontrolę biletów i z piątego rzędu uciekał kulejąc w jednym lakierku, jakiś grubas, który zajął cudze miejsce i zsunął z nogi pantofel. Jakub o mało nie spadł z krzesła, takie to było śmieszne. Potem zgasili światła i znów wziął matkę za rękę. Siedzieli tak do końca, a kiedy Ordonówna śpiewała „Jidysze Mame", matce płynęły łzy z kurzej łapki ku fałdzie koło ust. Jakub mrugał oczami i nie mógł zrozumieć dlaczego w poprzedniej piosence Ordonówna była podobna w srebrnej sukni do Beaty, a teraz, w czarnej chuście na zgarbionych plecach wydaje się podobna do jego matki. — Nigdy nie wyjadę do Ameryki — przysięgał sobie w duszy — nigdy nie zostawię jej samej i nie wsiądę na okręt. — Bo piosenka była o starej żydówce, której syn utonął na okręcie „Lincoln". Jakub marszczył brwi i zaciskał pięści na zły żydowski los. Kiedy po oklaskach zapaliły się światła, spojrzał w kierunku loży. Ale zobaczył tylko czerwone plusze, kotarę i puste fotele. Matka ocierała oczy chusteczką. Wyszli, przytuleni do siebie, i utykali po ulicach mokrych od deszczu. W domu przed zaśnięciem Jakub wyobrażał sobie, że jest kapitanem na okręcie „Lincoln" i że matka, Beata i Tolo ratują się w szalupie, a on sam do końca czuwa na bocianim gnieździe wśród spiętrzonych fal.

Bo Jakub miał fantazję. Kiedy wracał ze szkoły, często pytała go jak tam poszło na lekcjach. Wtedy odpowiadał marszcząc czoło, że owszem, dobrze poszło. Ich gimnazjum wygrało wojnę z gimnazjum Rejtana. Zdobyli gmach, wywiesili sztandar, jeńców w łańcuchach prowadzili przez ulicę Długą, a on Jakub, wiódł do ataku na koniu i ze złotą trąbą. — Jakubku — wzdychała udając lęk — czy to prawda? Przecież mogą cię za to wyrzucić ze szkoły...

— Nie bój się — uspokajał ją poważnie — moim przyjacielem jest Tolo Szarlej. On mnie zawsze obroni. — Potem sam się trochę niepokoił, bo nie był pewny, czy istotnie miał prawo uważać Tola za swego przyjaciela. — Z nimi nigdy nic nie wiadomo — mówiła często matka. Jakub zasępiał się: czy to była przyjaźń? Tolo dawał mu zagraniczne znaczki pocztowe, które odrywał od listów. Jego starszy brat, Julian, podróżował, a Jakub zbierał znaczki. Tolo śmiał się z niego i klepał go po twardej głowie: — Kiedy ty spoważniejesz Jakubku? — Mam dla ciebie markę z Wiktorem Emanuelem. — Jakub czerwienił się i mruczał, że król angielski także zbiera znaczki. Tolo zanurzał wtedy palce w jego wełnistych włosach i bawił się tak, kołysząc jego głową, jak łbem młodego psa. Czy to była przyjaźń?

Ale matka nie traktowała go poważniej niż Tolo. Kiedy wiosną wybierali jebłka z antresoli, ona stała na dole, a Jakub wdrapywał się po drabinie. Antresola była ciemna, pełna słodkich zapachów, jabłka leżały w równych rzędach pod ścianami, lecz mogło tam leżeć wszystko inne. Jakub zamykał oczy i czekał na czworakach, czy się coś nie stanie. — Jakubku — niepokoiła się z dołu — co się tam dzieje? — Nic takiego — odpowiadał jej szeptem — ale jest tu Tolo Szarlej zamieniony w krasnoludka z brodą, i muszę mu pomóc obudzić śpiącą królewnę. — Może tak ci się tylko zdaje, Jakubku? — pytała żartobliwie, niełatwo było ją okłamać. Jakub wychylał wtedy kudłatą głowę z antresoli i wzdychał z zawodem: — Może mi się tylko zdaje. — Potem podawał jej jabłka.

Sama by sobie nie poradziła. Przecież była taka drobna i wątła jak kurka, i kiedy na ulicy dął wiatr, Jakub bał się, że ją uniesie w górę i porwie do nieba. A on był bardzo silny, Jakub. Raz przestraszyła się, kiedy pokazał jej swoje muskuły, twarde jak sęki pod śniadą skórą. Powiedziała mu: — Bądź ostrożny, Jakubku — Jakub zmarszczył po swojemu czoło i mruczał: — Ho, gdybym tak chciał, to bym im dał... — Nad nosem zrobiła mu się wtedy gruba fałda, a matka szepnęła w przerażeniu: — Moje dziecko, Jakubku! Komu byś ty dał? — Ale on sam nie wiedział.

Pewnego dnia pokazał przecież swoją siłę. To było tego samego dnia, gdy stary Bałturyn przyłapał go na lekcji z książką ukrytą pod ławką. Czemu na miejscu Jakuba Golda od pół godziny widać tylko jego czarne kudły? Dlaczego mierzwi je krótkimi palcami, opierając łokcie na pulpicie? Bałturyna zaciekawiła ta dziwna nieruchomość, podszedł więc na palcach do ławki i schwycił grubą łapą książkę z kolan Jakuba. Potem obejrzał okładkę i zahuczał straszliwym śmiechem, przechylając swój wielki łeb: „Haa, haa! Dzieci kapitana Granta! Patrzcie co czyta nasz Jakub Gold! Jakub stał czerwony i mrugał oczami. — Jakubku — zarechotał Bałturyn — ile ty masz lat? — Szesnaście — odpowiedział Jakub i zwiesił głowę. Wtedy Bałturyn zamyślił się naraz i położył rękę na czarnym ciemieniu Jakuba. Stał tak przez chwilę i szepnął jakby do siebie: — Dzieci kapitana Granta... — Powtórzył te słowa dwa razy, wciąż z ręką na włosach Jakuba. Było to niezwykłe. Nie każdy wie, jak wygląda Bałturyn. To łysy olbrzym z karkiem bawołu, brzuchem nosorożca i oczami lwa.

Więc tego dnia Klemens Łuski z 8-ej A przyszedł do szkoły z zieloną wstążeczką przypiętą do munduru i w czasie dużej pauzy stał na boisku w otoczeniu kilku innych. W poprzednim tygodniu „Głos Polaka" wezwał ludność do bojkotu żydowskich sklepów, a z Warszawy przyjechali studenci; ich kolorowe czapeczki często można było spotkać w pobliżu katedry i na ulicy Długiej; Jakub oglądał je z podziwem. Klemens Łuski miał twarz z cofniętym podbródkiem, niebieskie oczy i baczki blond koło uszów. Wiosną zdobył mistrzostwo w pięcioboju na meczu międzyszkolnym, ale od wakacji spoważniał i przestał zajmować się sportem. Teraz, na boisku, gdy 6-ta klasa grała w koszykówkę, on stał odwrócony plecami i mówił do kolegów, strzykając czasem śliną przez zęby na żwir. Jakub biegł z piłką i na trzy metry przed koszem podał ją ostrym rzutem Tolowi na lewe skrzydło. Ale chybił i piłka trafiła prosto w kark Klemensa Łuskiego. — Przepraszam Klemens! — roześmiał się Jakub — nie chciałem! — Łuski skrzywił się, strzyknął śliną pod nogi Jakuba i powiedział: — Parch.

Jakub przystanął i pochylił głowę. Zobaczyli fałdę nad jego nosem, który nagle zbielał. Tolo zatrzymał się z piłką i zdążył tylko krzyknąć: — Jakubku! — Jakub szedł ciężkim krokiem ku Łuskiemu, słyszeli, że

SOŃ

mruczał do siebie jakieś słowa, Łuski czekał z rękami w kieszeniach spodni. Na boisku ucichły nagle krzyki. Chłopcy, ćwiczący rzut dyskiem z nauczycielem, porzucili dysk i przybiegli patrzeć. Ujrzeli małą czaszkę Łuskiego w szybkich podrzutach i ciemne pięści Jakuba bijące w milczeniu, głucho, miarowo. — Jakubku! — powtórzył Tolo i wypuścił piłkę. Łuski stęknął jak ziemia, na którą spada głaz, i upadł, zasłaniając się ręką. Jakub przysiadł na nim okrakiem i bił dalej pięściami w twarz. Podnosił je nad głowę i opuszczał nagle z wysoka, jak młoty, ściskając kolanami szyję Łuskiego. Zobaczyli krew na żwirze. Tolo złapał Jakuba za ramiona, ale on wrósł w tamtego jak drzewo i wciąż podnosił pięści; usłyszeli jęk, więc schwycił go oburącz za włosy i zaczął szarpać, krzycząc: — Zabijesz go! — Wtedy Jakub drgnął i opuścił ręce. Siedział jeszcze na nim i patrzał zmęczony w jego twarz, jak robotnik w potłuczony bruk. Zwlekli go wreszcie. Odszedł i usiadł pod słupem koszykówki. Zostawili go tam samego. Widzieli odchodząc, że ogląda swoje ręce. Tak przesiedział sam następną lekcję, wpatrując się we własne pięści, jakby ze zdziwieniem.

I tak zastał go Tolo, kiedy wrócił po rozmowie z Bałturynem. Jakubowi groziło zawieszenie, ale Bałturyn nie lubił Łuskiego i przyrzekł, że się wstawi. Na tym się skończyło. Lecz Tolo nie odchodził, uważnie patrzał na Jakuba i namyślał się nad czymś. Był trochę wzburzony, bo drgała mu lewa brew. Jakub wcisnął kudłatą głowę ramiona i chował za sobą pięści. — Odwiń rękaw Jakubku — powiedział nagle Tolo i Jakub odwinął rękaw. Tolo obmacał wprawnie jego ramię, barki i pierś. Mięśnie były tam spęczniałe, jak supły okrętowych lin. Jakub zawstydził się i szepnął: — Czy chesz mnie sprzedać na targu? — Nie — odpowiedział Tolo — nie chcę cię sprzedać na targu. Ale uważaj: bo jeśli się tyle ma tu — dotknął ramienia Jakuba — to trzeba równie dużo mieć tu — stuknął palcem w jego czoło. — Inaczej można skręcić kark, Jakubku. — Przyglądał mu się z uśmiechem kiwając głową, a lewa brew jeszcze mu drgała. Jakub zdziwił się i nie zrozumiał.

Ale nazajutrz prześcignął Jakuba sam Bałturyn. To on tym razem, nie Jakub, miał zostać zawieszony. Wypadki, które nastąpiły, miały coprawda związek z pobiciem Łuskiego, a zapewne i z obecnością studentów w mieście. Nazajutrz bowiem uczniowie 8-ej A wyrzucili żydowskich kolegów do ławek w lewym rzędzie i ogłosili bojkot w myśl wezwań „Głosu Polaka". Kiedy Bałturyn wszedł do klasy, spostrzegł nowy porządek i stanął rozkraczony przed katedrą, patrząc spode łba po twarzach. Potem powiedział: — A więc moi panowie... — i cichym basem nakazał dyżurnemu przewiesić krucyfiks na lewą stronę ściany, gdzie wisiał Piłsudski, a Piłsudskiego na prawą, po czym rzekł: — Jak panowie widzicie, dopiero teraz rzecz jest w rasowym i politycznym porządku. Ale nie mogę ukrywać, że od dziś uważam panów za wypierdków. — Po tych słowach opuścił klasę i następne trzy dni przeleżał w łóżku, pijąc grzane piwo i czytając słownik Larousse'a. Po tej sensacji zapomniano o Jakubie. W sprawie krucyfiksu interweniował biskup, w sprawie portretu — dowódca okręgu korpusu. Ale z Warszawy przyszedł nakaz, żeby nie ruszać Bałturyna. Bo Bałturyn w roku 1905 walczył z rosyjskim carem, nazywał się „towarzysz Gustaw", i siedział w jednej celi z tym samym, którego portret kazał przewiesić na miejsce krucyfiksu.

Jakub opowiedział matce, za co zbił Łuskiego, i zapytał, jak ona myśli, dlaczego Klemens powiedział mu „parch". Nie potrafiła mu tego wytłumaczyć. Jakub jadł obiad i opisywał jej wszystko po kolei. Gryzł mięso, mówił powoli i patrzał spod gęstych brwi w deseń serwety. Ona słuchała z przymkniętymi oczami, kołysząc lekko głową; brwi miała nieco uniesione. Tak słucha się wieści o szarańczy, o powodzi, o gradzie. Żydzi przywykli do ludzkiej złości, jak do żywiołu, który zsyła Bóg. Gdy krawiec mojego ojca powrócił po wojnie z Treblinki, powiedział — Czerpiało się, Bogu dzięki, czerpiało się... Mamo, czego oni od nas chcą? — zapytał Jakub i odłożył łyżkę. Ale ona wciąż kołysała głową milcząc.

Następnego dnia, na pauzie, o to samo zapytał Tola: — Tolu powiedz mi, czego oni chcą? — Siedzieli w ławce, klasa była pusta, zamknięte drzwi. Tolo odpowiedział, że oni chcą uwolnić Polskę od Żydów. Jakub zdziwił się i zapytał, czy od niego, Jakuba, także chcą Polskę uwolnić. Tolo roześmiał się; wytłumaczył, że tu nie chodzi o jednostki, ale o trzy miliony ludzi, którzy stanowią obcą masę. — Jakubku — dodał ciszej — ty wiesz, że mnie wszystko jedno, kto Żyd, a kto Turek. Ale przecież wyście opuścili swoją ziemię i czy to będzie złe, jeśli tam powrócicie? — Przerwał i nie patrzył mu w twarz, rysując cyrklem na pulpicie. Jakub znowu się zdziwił, bo dotąd nie przyszło mu do głowy, że opuścił swoją ziemię. Spojrzał w otwarte okno i zobaczył zielone gałęzie kasztanów, a za nimi wysoko szary dym. Czy to nie była jego ziemia? Jakub pokręcił głową. Przecież nie miał innej ziemi, niż dom na Łąkowej, szkoła imienia Kościuszki i las nad rzeką, gdzie jeździli latem. Wystarczała mu ta ziemia i wcale innej nie pragnął.

Kiedy Jakub przeszedł do 8-ej klasy, miał już tysiąc rzadkich znaczków w albumie, terrarium z żabką drzewną i rower marki „Łucznik". Czytał przed zaśnięciem awanturnicze powieści i czasem mówił gwarą trampów, co niepokoiło matkę. W czarnej oszklonej szafie, na ciężkich półkach, które pachniały jeszcze cygarami jego ojca, Leona, stały teraz książki Grey Owl i przygody Roulletabille'a. Na górne półki Jakub nie zaglądał. Ciągnęły się tam rzędem zielono-złote tomy lipskiego wydania poetów niemieckich, zbiory rycin Gustawa Doré i roczniki Tygodnika Ilustrowanego, które zbierał ojciec. Matka wyjmowała je z półek trzy razy do roku i ocierała z kurzu żółtą flanelą ich grzbiety. Raz zastał ją tak z grubym tomem przy oczach i usłyszał, że mówi do siebie. Był to wiersz, w którym powtarzały się słowa: „Lass die Juden, lass die Mohren..." Jakub zapytał co to znaczy, a ona odpowiedziała, że to jest wiersz Heinego, który najbardziej lubił ojciec. Odtąd Jakub, kiedy był sam w mieszkaniu, często stawał przed lustrem, marszczył brwi i mówił powoli przez nos: „Lass die Juden, lass die Mohren"... Przerywał w tym miejscu, bo tylko tyle pamiętał.

W 8-ej klasie Jakub przyniósł raz do szkoły żywą mysz i wypuścił ją na lekcji języka polskiego. Bałturyn mówił właśnie o „Promethidionie" i kiedy zobaczył mysz, rozgniewał się. — Jakubie Goldzie — zaryczał — kiedy ty dorośniesz? — Jakub udawał, że się wstydzi i pękał ze śmiechu. Wiedział przecież, że Bałturyn nic mu nie zrobi złego. Dyżurny wyrzucił mysz, a Bałturyn stanął przy Jakubie, wsunął gruby palec za kołnierz jego munduru i zapytał, jaki zawód Jakub sobie wybierze, kiedy skończy szkołę. Jakub odpowiedział bez namysłu, że chce być lekarzem i sam się zdziwił swoją odpowiedzią, a potem szybko dodał: — Tak, lekarzem chorób płucnych. — Potrząsnął dwa razy swą dużą głową, na to Bałturyn wzruszył ramionami i mruknął, że go wypędzi z klasy, jak tę mysz, jeśli nie będzie słuchał o „Promethidionie".

Dlaczego Jakub odpowiedział, że chce zostać lekarzem chorób płucnych, to było bardzo proste. Miesiąc przed tym jego matka zachorowała na zapalenie płuc i Jakub nie odchodził od niej przez osiem dni i osiem nocy. Jego krótkie, grube ręce okazały się czułe i ostrożne, kiedy dotykał jej czoła lub zwilżał jej spieczone wargi. Potrafił objąć ją w pół swoim mocnym ramieniem i unieść w poduszkach tak lekko, jakby on był jej niańką, a ona jego dzieckiem. Całował ją wtedy w pomarszczony policzek i mówił: — Moja mamo. — Doktór powiedział po kryzysie: — Pani ma dobrego syna, pani Gold — a ona podniosła po swojemu brwi z ostrożnym sceptycyzmem, jakim żydowskie matki ochraniają swe dzieci przed urokiem.

Przedtem, ile razy go pytała, czym chce być, kiedy dorośnie, odpowiadał, że chce jeździć z Łąkowej do Przylądka Dobrej Nadziei i z powrotem, albo że będzie dyrektorem wędrownego cyrku. Ale od czasu zdarzenia z myszą, mówiło się, że Jakub zostanie lekarzem chorób płucnych i że będzie przyjmował pacjentów na Łąkowej między piątą a siódmą. Był rok 1934, zbliżała się matura, dymy z fabryk miały kurs z północy na wschód, czyli od komina przędzalni „Fortuna" ku wieży katedry, włókna przędzy tańczyły w powietrzu, a w końcu kwietnia tłum bezrobotnych wybił szyby w gmachu województwa i policja oddała salwę, zabijając trzech ludzi w cyklistówkach, których zabrano do kostnicy.

W mieście zapanował niepokój, bo nadchodził pierwszy maj i obawiano się, że bezrobotni mieszkańcy wydm będą chcieli wywołać rozruchy. Ostatniej zimy szalała tam influenza, brakło opału, dzieci marzły jak wróble. W jednym z drewniaków wymarła w ciągu trzech dni rodzina — czworo osób. Nocą ludzie porąbali dom na drwa i nazajutrz znaleziono cztery ciała rozciągnięte na szmatach pod resztką dachu. Po tych wypadkach na wydmach rozeszły się słuchy, że to już koniec, że więcej nie można cierpieć. — Nic nam nie zostało prócz mrozu, głodu i śmierci — mówili niektórzy — czego się bać? — Dlatego przed pierwszym majem na ulicach śródmieścia pojawiły się patrole konnej policji. W dodatku między socjalistyczną radą miejską a kurią biskupią znów wybuchł stary spór o subsydium na wieżę katedry. Biskup wygłosił kazanie z okazji rekolekcji i zawołał z ambony: — Kościół nasz powoli wspina się do nieba, zaś winę za to ponoszą ludzie małego ducha — a „Głos Polaka" umieścił nazajutrz wielki tytuł na pierwszej stronie: „Z winy socjalistów kościół nasz powoli wspina się do nieba".

Chłopcy wracając ze szkoły patrzyli z szacunkiem na ciężkie wałachy policjantów, które wlokły się noga za nogą wzdłuż ulicy Długiej. Podkowy zostawiały na jezdni czarny ślad. Tolo znał się na koniach i uczył Jakuba odróżniać rasowe pęciny. Jakub wytrzeszczał oczy na nowiutką uprząż; spytał Tola, czy policjanci dobrze jeżdżą konno. Tolo odpowiedział, że chyba tak, bo muszą czasem szarżować na tłum. Jakub był ciekaw, czy to trudno szarżować na tłum, a Tolo wytłumaczył, że w każdym razie trzeba wtedy całkowicie panować nad koniem, i dodał, że on sam nieźle jeździ konno, ale że to nic w porównaniu z jego ojcem. Potem rozmowa zeszła na ojca Tola, który był w Paryżu i miał wrócić za kilka dni. Jakub trochę posmutniał, bo jego ojciec, Leon Gold, nigdy nie był w Paryżu i od wielu lat leżał na żydowskim cmentarzu, a nad głową szumiały mu dwie wysokie tuje. Tolo umilkł i spojrzał z boku na Jakuba. Chwilę szli nic nie mówiąc i Jakub patrzał w ziemię. Kiedy mieli się pożegnać, Tolo powiedział, żeby Jakub przyszedł do niego nazajutrz o piątej na przyjęcie, które wyprawia dla przyjaciół. Jakub zaczerwienił się ze wzruszenia i szepnął, że przyjdzie. — Będzie wódka, Jakubku — uśmiechnął się Tolo i trzepnął go po karku, kiedy się rozstawali. — Tolu... — przestraszył się Jakub — przecież ja nigdy, ja nigdy nie piłem wódki. — Wszyscy pijacy kiedyś zaczynali — powiedział Tolo i podniósł palec do góry.

Nazajutrz był ładny dzień i na błyszczącym dachu oficyny od rana siedziały gołębie. Na posadzce cień firanki snuł się po plamie słońca. Ciepły powiew przynosił zapach końskiego nawozu, którego nie brakło na ulicy Łąkowej, i drzew, których było mniej. Jakub uczył się przed lustrem wiązać krawat swego ojca, czarny w srebrne kółka; czasem marszczył czoło próbując, z jaką miną wejdzie do salonu pełnego gości Tola. W kuchni matka prasowała ubranie, które Leon Gold sprawił sobie na krótko przed śmiercią. Ochroniła je przed molami i teraz na Jakuba okazało się nawet za małe, bo jego ojciec był niskim i szczupłym mężczyzną.

O czwartej godzinie Jakub stanął przed matką, gotowy do wyjścia. — Jakubku... — szepnęła z podziwem na widok tak pięknego syna. Śniada twarz Jakuba wydała jej się jak z brązu na tle białej koszuli. Sukno ciasno opinało mu pierś, jego szeroką pierś, która dudniła, gdy bił w nią kułakiem, aby pokazać jak bardzo jest twarda. Włosy Jakuba błyszczały tego dnia, bo zmoczył je wodą. Jego włosy i brwi, krawat i ubranie były jednego koloru — czarne jak skrzydło kruka. — Mamo, czy ja wyglądam jak Samson? — zapytał i jeszcze mocniej naprężył pierś. Powiedziała mu, że Samson byłby przy nim słaby jak pchła i dodała ciszej, żeby trzymał się z daleka od panienek z pensji pani Ponte, bo one są fałszywe. Jakub zaczerwienił się i zapytał, skąd ona o tym wie. — Już ja wiem — powiedziała — dla ciebie będą fałszywe. — I uśmiechnęła się: — Jakubku, bądź chytrzejszy niż Samson — a Jakub przypomniał sobie, że Dalila ocięła Samsonowi włosy, kiedy spał.

Wyszli razem, bo miał ją odprowadzić do parku, gdzie czekały na nią znajome. Trzymał ją pod rękę, ostrożnie, nie za mocno, i wierzchem dłoni czuł jej żebra, drobniutkie jak u kurczęcia. Była lekka, z roku na rok lżejsza, wysychały jej ramiona, plecy, palce; starą matkę miał Jakub Gold. Przed domem dozorca spał na ławeczce, Jakub roześmiał się bo dozorca chrapał z otwartymi ustami, czapka zsunęła mu się aż na kark. Przed bramą parku stał ślepy kataryniarz z morską świnką, świnka wyciągała losy, a ruda dziewczynka śpiewała cienkim głosikiem: „Tato na lato łódki ma, zimą na bębnie w cyrku gra"... Jakub wrzucił do czapki dwadzieścia groszy i świnka wyciągnęła mu kartkę z przestrogą, żeby nie ufał oczom, które błyszczą dla każdego. — Widzisz? — powiedziała matka — mówiłam ci — a Jakub poczuł się nagle dumny.

Na ławeczce koło klombu siedziały tuż jej znajome i krzyczały zdaleka: — Dzieńdobry, pani Gold! Pięknego syna ma pani, pani Gold! — Jakub czuł, że serce jej bije wówczas szybciej i że stara się iść lekkim krokiem, aby on, Jakub, jeszcze piękniej i zgrabniej wyglądał. Kiedy byli już przy ławeczce, Jakub ukłonił się, a ona powiedziała: Dzieńdobry, pani Rozen. Co pani powie na tę wiosnę, Pani Rozen? — Pani Rozen siedziała po środku, bo była najstarsza, trochę głucha i miała czynszową kamienicę w Warszawie na ulicy Leszno. Szczypała Jakuba w policzek i powtarzała: Nasz Jakubek? mała rzecz — co miało znaczyć że Jakub jest udanym chłopcem. Potem zaczęła krzyczeć, że Jakub nie je wątróbek i dlatego jest chudy, co było oczywistą nieprawdą. — Pani Gold — wołała — chłopca trzeba karmić, bo rośnie. — Taką już miała naturę.

Było ich więcej na ławeczce: wszystkie stare, ubrane czarno, jedna miała lorgnon, druga mitenki, trzecia woreczek ze srebrnych łańcuszków i woalkę, którą ssała. Ta nie mówiła ani słowa, ale policzki trzęsły się jej ze śmiechu i nie odrywała oczu od Jakuba. Jakub trochę się jej bał i raz zapytał matki, dlaczego ona wciąż się śmieje. Matka odpowiedziała, że to ze zdziwienia na jego widok. Była przy jego urodzeniu i teraz bawi ją, że czas tak leci.

Pani Rozen powiedziała, żeby już sobie szedł, a one stare, posiedzą tu, aż się ściemni — więc Jakub się pożegnał. Dały mu na drogę landrynek do kieszeni, matka poprawiła mu krawat. — Bądź grzeczna, mamo — zawołał zdaleka i pokiwał ręką. Usłyszał jeszcze, jak pani Rozen powtarza swoje: — Nasz Jakub, mała rzecz...

Kazimierz Brandys

(c.d.n.)

TREŚĆ NUMERU 20.

Stanisław Ehrlich — **Elementy stabilizacji** — Mieczysław Siewierski — **Sylwetka psychologiczna Rudolfa Hoessa,** Aleksander Hertz — **O energii atomowej i paru inych sprawach (III).** Ryszard Matuszewski — **Krytycy czy akuszerki.** Ewa Korzeniewska — **Z zagadnień realizmu.** Zygmunt Radek — **Pieśni dróżnika.** Tadeusz Borowski — **Pożegnanie z Marią** (dok.) Stefan Otwinowski — **Trzy razy łzy.** Bolesław Dudziński — **Lekcja jeszcze trwa.** Jan Reychman — **Cosas de Espana.** Juliusz Żuławski — **„Miasto w dolinie" Priestley'a w Teatrze Kameralnym.** Eugeniusz Cękalski — **Drogi nowego filmu** Julia Hartwig — **J. R. Bloch — Żywo przykładny.** K. B. **Zagranicą o literaturze polskiej. Przegląd prasy. Noty.**

MAURYCY JAROSZYŃSKI

JESZCZE O AUTONOMII SZKOŁY I NAUKI

I.

Zabierając głos na łamach „Kuźnicy" w jesieni ub. roku *) starałem się sprowokować publiczną dyskusję w doniosłej sprawie organizacji nauki i szkolnictwa wyższego. W tym celu poddałem ostrej krytyce t. zw. autonomię szkół akademickich w jej obecnym kształcie, dochodząc do wniosku, że ta forma organizacyjna stała się w znacznej części już tylko bezużytecznym lub nawet szkodliwym rekwizytem przeszłości, przynajmniej jako główny instrument kształtowania stosunków nauki i naukowego kształcenia.

Prowokacja moja nie chwyciła. Publiczna dyskusja na łamach prasy nie została podjęta. Potoczyła się natomiast po innym torze, a mianowicie na licznych zjazdach i konferencjach sfer naukowych, organizowanych przez Radę Szkół Wyższych. Albowiem wbrew złośliwie podsycanym obawom, instytucja ta nie stała się instrumentem robienia doraźnej polityki w szkołach w postaci ograniczania wolności nauki, czystki w kadrach nauczycielskich i ukrócania swobody młodzieży, lecz jest tym rzeczywiście, czym miała być ze swego założenia: przejściowym organem Rządu do przepracowania całości problemu nauki i szkolnictwa wyższego i zaprojektowania gruntownej reformy. I, śmiem twierdzić, zadania swoje spełnia ona nie bez powodzenia.

Jednakże sprawa nauki nie jest sprawą tylko naukowców, lecz szczególnie doniosłym problemem społecznym, który winien interesować wszystkie czynne w społeczeństwie elementy. Dlatego wymaga ona publicznego traktowania. To skłania mnie do ponownego zabrania głosu. Pierwsze moje wystąpienie nosiło głównie charakter negatywny, krytyczny. Obecnie chcę przejść do strony pozytywnej i przedstawić koncepcje konstruktywne. Tym łatwiej przychodzi mi to teraz, kiedy opieram się już na pokaźnym plonie dyskusji, toczonych wokół Rady Szkół Wyższych, które w jednych przypadkach utwierdziły mnie w moich poglądach, w innych jednak skorygowały je znacznie.

Ograniczam się w tej chwili do strony organizacyjnej problemu. Ściślej mówiąc, z pośród ogromu zagadnień organizacyjnych wybieram tylko niektóre, ponieważ— nie zamykając oczu na doniosłość innych — te właśnie uważam za kluczowe, których właściwe rozwiązanie przesądza o rozwiązaniu innych.

II.

Na wstępie uprzytomnijmy sobie raz jeszcze, o co właściwie chodzi.

Nauka i nauczanie na szczeblu wyższym i najwyższym mają do spełnienia określone funkcje w konkretnej, aktualnej rzeczywistości społecznej. Prawda, w drodze procesów myślowych możnaby one funkcje wyabstrahować ze społecznej konkretności i mówić o wiecznych funkcjach abstrakcyjnie pojętej nauki w służbie wyabstrahowanego, wiecznego społeczeństwa czy ludzkości; spór na ten temat byłby jednakże o tyle jałowy, że i wtedy musielibyśmy uznać konkretyzowanie się tych abstrakcji w poszczególnych etapach rozwoju społecznego i nadawanie funkcjom badań naukowych i naukowego kształcenia szczególnej konkretnej barwy, dostosowanej do aktualnego ustroju społecznego i wymagań, z niego wypływających.

Mówmy poprostu. Nasz aktualny ustrój gospodarczy, społeczny, polityczny zwany — pozostańmy przy tym niezbyt szczęśliwym skrócie — demokracją ludową, różni się z gruntu od ustroju poprzedniego. Czyżby tak głęboka przemiana mogła pozostać bez wpływu na funkcje nauki? Oczywiście, nie. Wręcz przeciwnie, aktualna rzeczywistość, acz nie ukształtowana jeszcze we wszystkich szczegółach, narzuca z wielką siłą wyraźne postulaty pod adresem nauki i naukowego kształcenia. Oto najważniejsze:

1°. Nauka musi być świadomie i planowo wprzągnięta w służbę społeczeństwa i stwarzać podbudowę we wszystkich dziedzinach życia. Oczywiście, służba społeczna nie oznacza jedynie bezpośredniej użyteczności. Realizacja tego postulatu wymaga potężnego zorganizowanego wysiłku w celu zapewnienia nauce szybkiego rozwoju i nadrobienia zacofania.

2°. W zmienionym radykalnie układzie sił społecznych chłop i robotnik wysunął się na czoło społeczeństwa, pozostał jednak cywilizacyjnie i kulturalnie zacofany i upośledzony. Stąd nauka i naukowe kształcenie muszą być zdemokratyzowane w tym sensie, żeby służyć szybkiemu i stałemu cywilizacyjnemu i kulturalnemu postępowi mas ludowych. Między „sprawą nauki" z jednej, a „sprawą ludu" z drugiej strony nie ma sprzeczności, lecz największa zgodność.

3°. Nauka i naukowe kształcenie muszą dać szybko społeczeństwu liczne zastępy badaczy naukowych i wysoko wykształconych praktyków, obsługujących bezpośrednio potrzeby społeczne i to w ilościach i jakościach odpowiadających planowi zaspokojenia tych potrzeb.

4°. Postulat demokratyzacji ma jeszcze inny swój aspekt. Mianowicie wymaga najszerszego otwarcia realnej możności kształcenia się na wysoko kwalifikowanych praktyków i badaczy naukowych. Leży to zresztą w interesie rozwoju samej nauki, której szeroki, szybki i wydatny rozwój potrzebuje nieograniczonego dopływu kandydatów.

Demokratyzacja i planowość, wybijające charakterystyczne znamię na wszystkich postulatach, wypływających z aktualnej rzeczywistości, nie przeczą bynajmniej wolności naukowych badań, ogłaszania ich wyników i głoszenia naukowych poglądów ex cathedra. Wszystkie te wolności należy zachować, a raczej zapewnić (bo dotychczas nie było ich naprawdę) nie gwoli jakowejś doktrynie, lecz poprostu dlatego, że stwarzają one stosunkowo najlepsze szanse szybkiego rozwoju nauki.

Posługując się przenośnią, możnaby powiedzieć, że to, o co przede wszystkim chodzi, jest włączenie spraw nauki i wyższego kształcenia w nurt aktualnej rzeczywistości społecznej.

Każda rewolucja zmierza z konieczności do integralności i nie znosi nietykalnych oaz i stref neutralnych. Może chwilowo pozostawić na uboczu jakiś drobiazg, lecz nie może ominąć żadnej ważnej i istotnej dziedziny życia. Odnosi się to i do naszej, wprawdzie bezkrwawej i dobrotliwej, nie mniej przeto rzeczywistej i bardzo gruntownej rewolucji. To też jest wielką naiwnością sądzić, że może ona ominąć i pozostawić na starych, przedrewolucyjnych, a tym samym kontrrewolucyjnych torach sprawy nauki i szkolnictwa wyższego. Tym bardziej, że są one nie tylko społecznie doniosłe, ale wręcz stać się muszą jednym z ważnych instrumentów rozszerzenia i utrwalenia zdobyczy naszej rewolucji.

To jest założenie, na którym buduję swoje dalsze rozumowania i koncepcje organizacyjne. To jest równocześnie istotna przyczyna rozbieżności poglądów. Albowiem, jak ujawniły dyskusje, jedni z moich adwersarzy uwzględniają moje założenie o tyle tylko, że składają platoniczny hołd demokracji ludowej, inni je zupełnie przemilczają; jedni i drudzy rozumują jednak dalej tak, jakby się nic nie stało poza zmianą szyldu i jakbyśmy pędzili mniej lub więcej beztroski żywot okresu międzywojennego. Rzecz prosta, że przy braku wspólnych założeń nie można dojść do wspólnych wniosków.

Ażeby nie wracać do tej materii, zresztą kapitalnego znaczenia, powiem odrazu, że w świecie naukowców panuje zasadniczo zgodne przekonanie co do tego, iż jakąkolwiek miałaby ona być, to w każdym razie jedna i ta sama organizacja powinna obejmować całe zagadnienie nauki i szkolnictwa wyższego.

III.

W skomplikowanej z konieczności aparaturze współczesnego państwa wiele różnorodnych organów wywiera większy lub mniejszy, bezpośredni lub pośredni wpływ na rozwiązywanie poszczególnych zagadnień. Sądzę jednak, że rozpatrywanie sprawy organizacji nauki i szkolnictwa wyższego w tak szerokiej płaszczyźnie nie byłoby celowe; musielibyśmy bowiem wtedy rozważać całość ustroju politycznego i administracyjnego Państwa i omawiać zagadnienia ustrojowe, wiążące się nie tylko z bezpośrednio nas interesującym tematem, ale rozwiązywaniem wszystkich problemów w ogóle. Dlatego zacieśnijmy pole dyskusji do sprawy organizacji zarządu sprawami nauki i szkolnictwa wyższego. Ale zarządu w najszerszym tego słowa znaczeniu: w pojęciu tym zmieści się zarówno decyzja o założeniu szkoły wyższej, jak i o mianowaniu asystenta albo laboranta.

W tak zacieśnionym temacie w grę wchodzą dwa rodzaje organów, jako praktycznie jedynie możliwe ośrodki dyspozycji w sprawach nauki i nauczania wyższego: centralny organ rządowy, a więc minister i ministerstwo, czyli czynnik polityczno-administracyjny i organa utworzone—powiedzmy to z wielką dozą nieścisłości — z zainteresowanych sfer naukowców. Konstrukcja tych drugich organów i rozłożenie kompetencji między nie z jednej, a czynnik pierwszy, z drugiej strony, stanowi istotę zadania, które chcemy rozwiązać. To są essentialia zagadnienia w aspekcie organizacyjnym; wszystkie inne, przy całej swojej doniosłości, to tylko accidentalia.

Stara prawda, w myśl której trzeba oddać co cesarskiego cesarzowi, jest prawdziwa również w stosunku do naszego zagadnienia. Chodzi o ministra. W mechanizmie rządzenia nowoczesnym państwem jest bienia tej kluczowości byłyby beznadziejne i szkodliwe.

Ale minister może tylko to, co może. Jest i musi pozostać politykiem. Politykiem związanym w sposób szczególny z tym działem służby publicznej, na którego czoło wysuwa go jego stanowisko szefa resortu administracyjnego. Administracja bowiem jest stroną realizacyjną funkcji rządzenia. Stąd rola ministra polega z jednej strony na przenoszeniu z płaszczyzny wielkiej polityki na grunt resortu nakazów i postulatów o charakterze politycznym; będą to oczywiście tylko kwestie zasadnicze i generalne dyrektywy, bo tylko takie rodzą się na gruncie wielkiej polityki państwowej. Z drugiej strony minister przenosi z płaszczyzny resortu na płaszczyznę polityczną wymagania o charakterze przede wszystkim fachowym, czyni z nich postulaty polityczne i przeprowadza ich uznanie za istotne składniki programu państwowego.

Żądanie „fachowości" ministra jest wielkim nieporozumieniem. Czego od niego żądać można i należy, to jak najlepszego orientowania się w sprawach swojego resortu z punktu widzenia ogólno-społecznego i doceniania potrzeb, reprezentowanych przez resort, z tego samego punktu widzenia; znajomość techniczną musi on pozostawić komu innemu. Tym bardziej, że gdyby nawet miał być fachowcem, mógłby być co najwyżej fachowcem cząstkowym. Albowiem nawet najbardziej żwarty i jednolity w doborze spraw, należących do jego zakresu, resort administracyjny, mieści w sobie mnogość specjalności, a specjalista od wszystkiego nie jest w. ogóle specjalistą. To też ministrem najlepszym dla resortu (w znaczeniu reprezentowanych w nim potrzeb społecznych) nie jest maksymalny fachowiec, lecz jak najbardziej wybitny i wpływowy polityk.

To wszystko, co powiedziałem o funkcjach ministra, możnaby nazwać rządzeniem w resorcie. Ale poza rządzeniem pozostaje jeszcze ogrom funkcji, zwanych administrowaniem. Składają się na nie rozliczne decyzje i posunięcia konkretne o bardzo rozpiętej skali doniosłości, wymagające już bliższej, fachowej znajomości rzeczy. Rządzenię jest z pewnością bardzo ważne, bo nadaje ogólny kierunek; administrowanie (rozgraniczenie tych dwóch pojęć nie da się ściśle przeprowadzić) jest jednak nie mniej ważne, albowiem poprzez akty in concreto ono kształtuje rzeczywistość w zakresie spraw, poruczonych pieczy danego resortu. Powtóre — administrowanie, jeśli tak się wyrazić wolno, poprzez siłę swojej fachowości i wagą swojej masy, oddziaływuje bardzo silnie na rządzenie. Niekiedy (gdy czynnik powołany do rządzenia nie dopisze) tak silnie, że faktycznie rządzi ten, kto administruje.

Funkcja rządzenia należy do ministra. Natomiast administrowanie przerasta faktyczne jego możliwości. Wprawdzie w ustrojach administracyjnych obowiązuje przeważnie zasada monokratyczna, a oparte na niej konstrukcje prawne każą nam twierdzić, że wszystko, cokolwiek się decyduje w granicach resortu, jest wyrazem woli ministra, ale w rzeczywistości jest to jedna z wielu fikcji, którymi się posługujemy. W rzeczywistości bowiem — jeżeli świadomie nie wprowadzimy szczególnych środków organizacyjnych, działających w przeciwnym kierunku — administruje, a przez to samo oddziaływa na rządzenie, a niekiedy nawet faktycznie rządzi ministerstwo t. j. aparat zawodowych urzędników, będących formalnie jedynie fachowymi pomocnikami ministra i wykonawcami jego woli. W skrajnej, wynaturzonej postaci tego zjawiska mamy wtedy do czynienia z faktycznymi rządami zawodowej biurokracji.

Są wprawdzie rozpaczliwie pesymistyczne teorie (James Burnham: „Managerial Revolution"), które dowodzą, że tak być musi, że w szczególności wskutek swojej fachowości i umiejętności „managerowie" życia gospodarczego i zawodowej biurokracji stają się klasą rządzącą, zastępującą schodzącą z pola klasę kapitalistów, ale na ogół świat nie poddaje się temu pesymizmowi. Szuka form organizacyjnych, które by zarówno w życiu gospodarczym, jak i w administracji publicznej zapobiegły rządom fachowych „managerów" i ich rolę, zresztą niezbędną w życiu społecznym, sprowadziły do właściwej miary. Poszukiwania idą m. inn. po linii wprowadzania do aparatu państwowego (względnie gospodarczego) organów, zbudowanych z czynnika ogólno-społecznego (formy samorządu powszechnego, u nas rady narodowe, które są więcej niż samorządem) czy też fachowo-społecznego (samorząd gospodarczy, zawodowy, inne pozasamorządowe organa)—w każdym razie złożonych z czynnika innego, aniżeli zawodowo-urzędniczy. Wszystkie tego rodzaju organa są wyrazem tendencji ograniczenia nie rządu czy poszczególnego ministra, lecz faktycznej omnipotencji zawodowej biurokracji.

Wracając do spraw nauki i szkolnictwa wyższego, należy stwierdzić, że i tu istnieją te same tendencje. Faktyczna omnipotencja zawodowego urzędnictwa byłaby bowiem na tym polu może jeszcze bardziej szkodliwa i niebezpieczniejsza niż na innych. Wymagania szczególnej znajomości rzeczy i szczególnej fachowości są równocześnie o to, aby tym ostatnim organom poszukiwania rozwiązań idą po linii organów, zbudowanych z czynnika nie zawodowo-urzędniczego, a jednak w swoim rodzaju fachowego: z czynnych pracowników na polu nauki i szkolnictwa wyższego. Chodzi poprostu o to, aby czynnika rządzącego, reprezentowanego przez ministra, nie

*) mój artykuł „Autonomia szkoły czy autonomia nauki" w Nr 41 „Kuźnicy" z r. 1946.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIĄŻKA"

„KOMEDIA LUDZKA" BALZACA

w przekładzie BOYA - ŻELEŃSKIEGO

DWAJ POECI — cz. I, str. 172, zł 150,—

STRACONE ZŁUDZENIA — cz. II, str. 374, zł 300,—

CIERPIENIA WYNALAZCY — cz. III, str. 232, zł 270,—

BLASKI i NĘDZE ŻYCIA KURTYZANY — cz. IV, str. 336, zł 350,—

OSTATNIE WCIELENIE VAUTRINA — cz. V, str. 284, zł 250,—

(cykl Balzaca daje obraz tworzącego się właśnie w tym okresie (lata 1815—1848) nowoczesnego społeczeństwa francuskiego. „Komedia Ludzka" ukazuje świat teatrów, dziennika i wielkiego świata księgarstwa paryskiego, równocześnie jednak styka się z dziedzinami polityki, przemysłu, finansów i dyplomacji). Z przedmowy Boya-Żeleńskiego.

EUGENIA GRANDET — str. 216, zł 280,—

(Powieść, która rozpoczyna szereg wielkich arcydzieł Balzaca napisana została w okresie wielkiej miłości autora do Ewy Hańskiej. W czasie tworzenia tego arcydzieła tak o niej pisze do ukochanej: „Eugenia Grandet" to jeden z moich najbardziej skończonych utworów, jest w połowie. Jestem z niej bardzo rad. „Eugenia Grandet" niepodobna jest do żadnej rzeczy które stworzyłem dotąd. Począć „Eugenię Grandet" po „Ferragusie" — bez próżności jest to dowód talentu" i jeszcze: „Są tam stronice napisane w bólu. Należy do ciebie jak ja cały").

OJCIEC GAURIOT — w druku.

BOY - ŻELEŃSKI T. — SŁÓWKA, str. 324, zł 320,—

(Wiersze i piosenki satyryczne z krakowskiego kabaretu „Zielony Balonik". Autor opatrzył książkę przedmową i komentarzami).

zostawiać sam na sam z podległym mu aparatem urzędniczym, lecz włączyć w strukturę władz, zawiadujących nauką i szkolnictwem wyższym, organa utworzone z naukowców i nauczycieli. Chodzi równocześnie o to, aby tym ostatnim organom zapewnić istotny współudział w kształtowaniu stosunków nauki i wyższego szkolnictwa, jednym słowem, (brnijmy dalej w nieścisłościach terminologicznych) chodzi o znalezienie odpowiednich form „autonomicznych".

IV

Gotowe (jakże jednak pozorne!) rozwiązanie tak postawionego problemu daje nam przeszłość w postaci t. zw. autonomii poszczególnych szkół wyższych. Zrodzone w zamierzchłej przeszłości i w zgoła odmiennych warunkach społecznych formy onej autonomii akademickiej miałyby być podstawą rozwiązania problemu autonomiczności w dzisiejszej rzeczywistości.

Już w swoim zeszłorocznym wystąpieniu na łamach „Kuźnicy" starałem się wykazać, że jest to szkodliwe złudzenie. Że mianowicie t. zw. autonomia akademicka stała się w znacznej mierze fikcją, a tam gdzie jeszcze zachowała jakieś istotne znaczenie, staje się wyraźnie szkodliwą.

Na to ktoś bąknął: reforma jędrzejewiczowska. Za pozwoleniem. Cała ta przereklamowana reforma, chociaż boleśnie nadepnęła na nagniotki, w gruncie rzeczy zmieniła niewiele. Natomiast znacznie więcej istotnych zmian, sprowadzających autonomię do fikcji, dokonało się już dawno przed tym, jako konsekwencja niedostosowania form rozdrobnionej autonomii szkolnej do warunków nowoczesnego życia. Owo niedostosowanie rysuje się tym jaskrawiej na tle ostatnio dokonanych zmian o charakterze rewolucyjnym. I w tym właśnie leży sedno rzeczy. W płaszczyźnie nowych i wielkich zadań, które ma do wypełnienia administracja nauki i szkolnictwa wyższego, rozdrobniona autonomia poszczególnych szkół staje się narzędziem całkowicie nieudolnym. Albowiem z natury rzeczy — t. jj. uwzględniając dzisiejszą rzeczywistość społeczną, nie może (po prostu: nie może) ona nic istotnego mieć do powiedzenia (w sensie decydowania czy współdecydowania), w najważniejszych sprawach, dotyczących nauki i szkolnictwa wyższego.

Minęły już bezpowrotnie czasy, kiedy każda szkoła akademicka organizowała się sama, jako całość zamknięta w sobie i stanowiąca dla siebie odrębny świat. A to przecież było naturalnym założeniem autonomii akademickiej! Dziś już chyba nikt nie twierdzi, żeby było rzeczą możliwą — a zwłaszcza pożyteczną — tym samym trybem kształtować stosunki poszczególnych szkół, nadawać im taki, a nie inny charakter, układać programy, kreować wydziały i katedry i t. d. i t. d. Wszystkie te funkcje, a mówiąc ściślej istotny głos w decydowaniu spraw, dotyczących organizacji szkoły i nauki w szkole, a więc we wszystkich ważnych sprawach organizacji szkolnictwa i nauki — odpadły już dawno od autonomicznych organów szkoły i zostały przeniesione na inne ośrodki dyspozycji, czuwające nad całością tych spraw w Państwie. I komu dobro nauki i szkolnictwa wyższego leży naprawdę na sercu, ten nie będzie usiłował cofnąć historii i ożywiać martwych pod tym względem form autonomii poszczególnych szkół, lecz całą uwagę i wszystkie wysiłki skupi na należytym zorganizowaniu tych innych ośrodków dyspozycji, które muszą w tym zakresie decydować.

Z funkcją organizowania nauki i nauczania wiąże się nierozerwalnie funkcja kształtowania stosunków personelu naukowego i nauczającego, który wypełnia treścią inaczej puste formy organizacyjne. To też nieodpartą konsekwencją przeniesienia dyspozycji organizacyjnych z lokalnych czynników na centralne jest przeniesienie punktu ciężkości i skoncentrowanie dyspozycji personalnych. Upieranie się przy pozostawieniu głównej wagi tych ostatnich przy czynnikach lokalnych jest beznadziejną i szkodliwą niekonsekwencją.

To samo dotyczy finansowania potrzeb nauki i szkolnictwa wyższego. Konieczność skoncentrowanej, przewidującej i planowej gospodarki narzuca się tu z jak największą siłą. I jeżeli dzisiaj tak nie jest i jeżeli sprawa finansowania pozostawiona jest praktycznie wciąż jeszcze rozmaitym chodom i zachodom czynników lokalnych, to przyczyny tego oczywistego zła należy szukać w nieodpowiednim zorganizowaniu i niedostatecznym wykrystalizowaniu się ośrodków dyspozycji centralnej. Oglądanie się wstecz na formy lokalnej autonomii nic tu nie pomoże.

To są racje ściśle rzeczowe. Wskazują one na to, że punkt ciężkości należytej organizacji spraw nauki i szkół wyższych leży w odpowiednim zorganizowaniu centralnych ośrodków dyspozycji. Będzie to oczywiście równoznaczne z umniejszeniem roli ośrodków lokalnych i sprowadzeniem jej do funkcji drugorzędnych i pomocniczych. I na to nie ma rady.

Niestety nie wszyscy chcą spojrzeć prawdzie prosto w oczy. Upierają się przy konserwowaniu i pielęgnowaniu przeżytych form autonomii lokalnej, na których chcieli by nadal budować ostoję autonomiczności nauki i nauczania w ogóle. I, jak wszyscy konserwatyści, pozostają w defenzywie. Bronią mizernych resztek rzeczywistej autonomii, przypisując im — wbrew oczywistości — nieprawdopodobny wpływ na całość stosunków nauki i szkolnictwa. Jak dalece zaś działa tu tradycyjny automatyzm, świadczy wymownie fakt, że mówią tylko o autonomii szkół akademickich, bo taka tylko autonomia istniała w przeszłości. Natomiast nie mają do powiedzenia nic np. o niemniej ważnych placówkach twórczości naukowej w postaci samodzielnych instytutów naukowo-badawczych. W tym wypadku nie istnieje dla nich problem autonomiczności nauki — bo go nie było w rzeczywistości.

Obok racji ściśle rzeczowych, są jednak równie ważne racje polityczne. Mówiłem już o nich poprzednio: konieczność włączenia całego problemu w aktualną rzeczywistość społeczną i uczynienia z organizacji nauki i szkolnictwa ważnego instrumentu w rozszerzaniu i utrwaleniu zdobyczy polskiej rewolucji. Jakąż naiwnością byłoby tedy sądzić, że temu zadaniu, które dla nas jest conditio sine qua non, sprosta autonomia poszczególnych szkół! I że nad jego wykonaniem będą szczerze pracować, jako podstawowe instrumenty, organa lokalne, utworzone z lokalnych „światów nauki", wyznających w swojej większości co najwyżej „neutralność" w stosunku do dokonanych przemian rewolucyjnych!

Zapewne, pewnego rodzaju nieśmiałość czynników rządzących wobec „świata nauki" może spowodować, że sprawa się odwlecze i że wskutek upierania się przy starych formach pozostaną one jeszcze czas jakiś. Ale nie na długo. Albowiem rzeczywistość upomni się niechybnie o swoje prawa. Wtedy może przyjść decyzja nagła i nieprzygotowana. Wtedy wraz z przeżytymi formami lokalnej autonomii szkolnej paść łatwo może sama idea autonomiczności nauki. Z wielką dla nauki szkodą.

Śmiem twierdzić, że największym niebezpieczeństwem dla idei autonomiczności w organizacji nauki i szkolnictwa wyższego są przysięgli obrońcy starego ładu autonomicznego.

V.

Jakżeż tedy ucieleśnić ideę autonomiczności w oparciu o aktualną rzeczywistość społeczną i o założenie roli nauki i szkolnictwa wyższego w tej rzeczywistości?

Widzę tylko jedno wyjście. Mianowicie: przenieść i znacznie rozszerzyć i pogłębić — autonomiczne uprawnienia, przysługujące dotychczas poszczególnym szkołom, na jeden centralny organ, złożony jeśli nie wyłącznie, to w każdym razie w znacznej większości z naukowców i ulokowany przy właściwym ministrze. Nazwijmy ten organ Radą Główną do spraw nauki i szkolnictwa wyższego.

Nie chodzi bynajmniej o kreowanie jeszcze jednego organu doradczego. Nie można wprawdzie lekceważyć doniosłości kompetentnej dorady, ale wiadomo także, że ciała czysto doradcze na ogół nie zdały egzaminu życiowego. Z drugiej strony założeniem powołania Rady Głównej nie byłoby przeciwstawienie ministrowi, lecz współdziałanie obydwóch czynników. W szczególności Rada Główna współdziałaby stale z ministrem, w jednych sprawach z głosem stanowczym, w innych jedynie z doradczym. Przesądza to równocześnie konstrukcję prawną Rady Głównej: nie byłaby ona samoistnym organem władzy, występującym jako taki na zewnątrz, lecz formą organizacyjną zróżnicowania wewnętrznego jednej i tej samej władzy. Zresztą zróżnicowania bardzo istotnego: obydwa człony władzy, minister i Rada, wiązałyby się wzajem i uzupełniały, aby na zewnątrz wyrazić jedną decyzję.

Organizacyjnym wyrazem najściślejszego związku między ministrem a Radą powinno być przewodnictwo ministra w Radzie. Natomiast stałym zastępcą przewodniczącego powinna być osoba, powołana spośród czynnych pracowników naukowych.

Członkami Rady przynajmniej w znacznej większości powinni być czynni naukowcy. Nie znaczy to jednak, żeby optymalny skład Rady miał się wyrazić w powołaniu do niej najwybitniejszych przedstawicieli poszczególnych dziedzin nauki. Albowiem Rada nie ma być akademią nauki, reprezentującą najwyższy autorytet naukowy w kraju, lecz organem współdziałającym w administrowaniu sprawami nauki i szkolnictwa wyższego. Należy do istoty rzeczy, aby organ ten obok niezawisłości, której nie ma zawodowy urzędnik, reprezentował również szczególną znajomość administrowanej dziedziny, a więc ażeby się składał z naukowców. Ale równocześnie rzeczywisty wpływ tego organu zależy od tego, aby jego członkowie byli związani nie tylko z nauką, lecz także z życiem społecznym, a przynajmniej ażeby życie dobrze znali i orientowali się w realnych możliwościach. Rzecz jasna, że wybitność naukowa niezawsze chodzi w parze z tymi kwalifikacjami.

Rada powinna być organem możliwie zwartym, a więc nielicznym w swym składzie. Powiedzmy: 15 — 20 członków. Jest zaś już rzeczą techniki organizacyjnej uzdolnić ją do zabierania głosu w sprawach wymagających ściślejszej specjalizacji. System sekcji, powoływanych nie tylko spośród członków Rady, sprosta bez poważniejszych trudności potrzebom w tym względzie.

Litania spraw, w których Rada powinna, zdaniem moim, współdziałać z głosem stanowczym z władzami rządowymi, jest bardzo długa. Oto najważniejsze:

W dziedzinie organizowania nauki i szkolnictwa wyższego: ustalanie sieci szkół i samodzielnych placówek naukowo-badawczych, kreowanie poszczególnych szkół i placówek, nadawanie szkołom właściwego typu, kreowanie, przekształcanie, znoszenie wydziałów, oddziałów, studiów specjalnych i poszczególnych katedr; organizowanie wspólnot międzyszkolnych; ustalanie programów; normowanie sprawy egzaminów i tytułów zawodowych i naukowych; nadawanie statutów organizacyjnych poszczególnym szkołom i samodzielnym placówkom naukowo-badawczym; nadawanie prawa doktoryzowania i t. d. i t. d.

W dziedzinie personelu naukowego i nauczającego: kontrola i zatwierdzanie habilitacji; bezpośrednie habilitowanie we własnym zakresie działania; kwalifikowanie i przedstawianie kandydatów na profesorów oraz na kierowników i samodzielnych pracowników naukowych instytutów poza szkolnych; normowanie kwestii specjalnego przygotowania kandydatów na pracowników naukowych łącznie z systemem stypendiów naukowych i t. d. i t. d.

A obok tego Rada zabierałaby głos opiniodawczy we wszystkich innych sprawach, dotyczących nauki i nauczania. A więc w sprawach uwzględnienia potrzeb nauki w planach narodowych, projektów aktów ustawodawczych, rozporządzeń i ogólnych zarządzeń, dotyczących nauki, projektów finansowania potrzeb nauki w ogóle i przyznawania poszczególnych subwencji na cele naukowe z funduszów państwowych i t. d. i t. d.

W ten sposób Rada Główna wywierałaby istotny wpływ nie tylko na te sprawy, które wchodzą w zakres obecnej, jakżeż w gruncie rzeczy mizernej, autonomii poszczególnych szkół, ale i na wszystkie inne o wiele ważniejsze dla losów nauki decyzje, które są poza możliwym zasięgiem autonomii lokalnej.

VI.

Jaką drogą powoływać członków Rady Głównej?

Pierwszy odruch, wypływający z głęboko zakorzenionych nałogów pozornie demokratycznego myślenia, dyktuje nam odpowiedź: w drodze wyborów. Atoli po rozwadze przyjść trzeba do wniosku, że byłaby to droga zupełnie fałszywa. Albowiem kartka wyborcza ma swój wielki sens, ale sens ograniczony. Zastosowana w nieodpowiednich sytuacjach wiedzie do bezsensu.

Zastanówmy się spokojnie, do jakich rezultatów doprowadziłaby nas zasada wybieralności członków Rady Głównej.

W najlepszym przypadku t. j. po pokonaniu olbrzymich trudności wynalezienia odpowiedniego systemu wyborczego, wybory dałyby nam w wyniku ciało t. zw. „reprezentatywne". Jego członkowie wyrażaliby o tyle o ile opinię większości swych kolegów z poszczególnych środowisk. Mówiąc językiem mniej górnym, Rada składałaby się z członków koniunkturalnie najpopularniejszych w swoich środowiskach. Przyczyną tej popularności mógłby być w jednych przypadkach autorytet naukowy wybrańca, w innych inne okoliczności, nie dające się z góry przewidzieć i prawdopodobnie różne w różnych środowiskach. Czyli wynik optymalny, jakżeż w praktyce trudny do osiągnięcia: Rada Główna będąc zbiorowiskiem najpopularniejszych osób w rozproszonym świecie naukowców, odbijałaby od biedy najpopularniejsze opinie, które ten świat nurtują.

Wyrażanie opinii świata nauki polskiej o potrzebach nauki jest sprawą bardzo ważną. Tak ważną, że trzeba jej znaleźć odpowiednie formy instytucjonalne, specjalnie przykrojone do tego celu, o który chodzi. Sądzę, że najmniej nadają się w tym celu tradycyjne „rady naukowe", zamknięte w sobie i noszące mniej lub więcej charakter elitarny. Opinia, jeśli ma być prawdziwa, wypowiadana być winna bardziej bezpośrednio i w formach bardziej umasowionych. Dlatego należy wprowadzić instytucję periodycznie i obowiązkowo zwoływanych Kongresów Nauki Polskiej, które by w pełnym świetle publiczności i nie krępując się nikim i niczym, wypowiadały się o wszystkim, co dotyczy nauki.

Snujmy dalej prawdopodobne konsekwencje wybieralności członków Rady Głównej. Wybory presumują przeciwstawienie i walkę. A tymczasem organ, o który chodzi, ma być zbudowany na wręcz przeciwnym założeniu i harmonii i współdziałania. Boć przypominam, że Rada miałaby być formą wewnętrznego zróżnicowania jednej i tej samej władzy naczelnej do spraw nauki i szkolnictwa wyższego.

Sytuacja, której chyba nikt nie poważy się nazwać chwilową, wymaga takiego kierowania organizacją nauki i nauczania, które by te dziedziny wprowadziły jak najszybciej w obręb naszej porewolucyjnej rzeczywistości. Rada ma pod tym względem do odegrania swoją wielką rolę. Byłaby do niej zgoła niezdolną, gdyby powołać jej członków wolą tak czy inaczej zmontowanej większości aktualnych pracowników naukowych.

Wybieralność członków Rady pozostaje w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do możliwości wywalczania dla niej istotnych kompetencji. Gdyby zasada wybieralności zwyciężyła, to stałoby się to według wszelkiego prawdopodobieństwa kosztem zakresu działania Rady. Wybieralna i o tyle o ile „reprezentatywna", stałaby się ona w gruncie rzeczy nikomu niepotrzebnym „Beiratem".

A tymczasem chodzi o zgoła co innego.

Omówiony poprzednio charakter i zakres funkcji Rady przesądza o właściwym sposobie powoływania jej członków. Nie ma to być przecież formalna reprezentacja, wyrażająca volonté générale ludu naukowców. Nie ma to być zwierciadło aktualnych opinii pracowników naukowych. Ani przedstawicielstwo elity naukowej. Tym bardziej nie ma to być instytucja, w której znajdują odbicie tendencje ograniczenia samowoli złego władcy — rządu i ministra. Chodzi natomiast o stworzenie rzeczowo kompetentnego, jednak nie zawodowo - urzędniczego, równocześnie związanego z życiem społecznym, organu roboczego, który by w oparciu o zasadę dobrej woli i harmonii, współdziałał z rządem i ministrem, ważąc w sposób istotny na wszystkich decyzjach, kształtujących stosunki nauki i szkolnictwa wyższego.

Wszystkie systemy powoływania organów państwowych mają swoje dobre, ale i złe strony. Ważąc pro i contra, dochodzę do wniosku, że członkowie Rady Głównej powinni być powołani drogą selekcji odgórnej, a nie drogą wyborów. Wtedy dopiero będzie można wyposażyć Radę w maximum istotnych kompetencji. A oto chodzi przede wszystkim.

Maurycy Jaroszyński.

MIECZYSŁAW JASTRUN

POEZJE WYBRANE

z portretem autora

Stron 235 1947 Cena zł 460

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„CZYTELNIK"

JAN SZCZEPAŃSKI

TRAKTAT O OPINII*)

PODTYTUŁ tej książki zacieśnia niepokojący rozmach w sformułowaniu tytułu. Wszak każdy z trzech występujących w nim wyrazów może stanowić przedmiot rozległych studiów. Lecz autor szybko wyjaśnia możliwe nieporozumienia: nie chodzi tu o przedstawienie jakiejś teorii tych rozległych dziedzin zjawisk oznaczonych tymi terminami. Chodzi nam po prostu o ustalenie, czy i wiele uciekano się w epoce rozkwitu kapitalizmu do nadania prawnego charakteru... badaniom opinii, o ile istotnie to, tak ważne według historyków i filozofów zjawisko, uznane było za wskaźnik kierunkowy działania politycznego, a wreszcie w jakim stopniu, jak i kto mógł na tę opinię wpływać drogą odpowiedniej pracy propagandowej. Książka jest pracą historyka widzącego socjologiczną problematykę badanej klasy zjawisk. Rozpada się na dwie części: I. Warunki ustrojowo - polityczne a opinia publiczna II. Informacja i propaganda. Łatwo byłoby ulec pokusie zapuszczania się w studia teoretyczne nad opinią publiczną, jako niezmiernie skomplikowanym i interesującym zjawiskiem społecznym. Autor jednakże wybrał wierność materiałom i analizom konkretnej rzeczywistości politycznej i społecznej, w której zjawiska te zachodzą. Punktem wyjścia autora są pewne teorie prawników i polityków dotyczące opinii publicznej jako siły społecznej wpływającej na przebieg życia politycznego.

Mimo nałożenia sobie takiego ograniczenia tematu Autor jednakże musiał przedstawić pewne przynajmniej elementy ogólnej teorii opinii publicznej, przynajmniej definicję i pewien zarys klasyfikacji zjawisk objętych jej zakresem. Jako punkt wyjścia autor przyjmuje określenie: „Opinia w ogóle (tak prywatna jak publiczna, względnie jednostkowa jak i zbiorowa) nazywa się popularnie "manifestacje pewnej z góry określonej tendencji do osądzania określonego zjawiska w określonej sytuacji", względnie „pewnej gotowej formuły określającej postawę wobec danego zjawiska" (str. 19) Autor zdaje sobie sprawę z niedostateczności tego określenia, nie wyjaśnia go jednak bliżej, zasłaniając się brakiem jakiejś jednolitej teorii opinii i ścisłej definicji sformułowanej przez fachowców teoretyków tej dziedziny. W ciągu swoich rozważań Autor posługuje się rozróżnieniami wypracowanymi przez Bauera (który rozróżnia dwa rodzaje opinii publicznej: statyczną i dynamiczną), a w sprawach wątpliwości teoretycznych odsyła czytelnika do niedawno wydanej we Francji książki J. Stoeckela Theorie des opinions, (str. 247). Nie jest to wyjście najszczęśliwsze, a wywołuje nieporozumienia zwłaszcza na tle używania wyrazów „opinia publiczna" i „wola powszechna" jako równoznaczników, oraz na tle tendencji do używania jako równoznacznych zwrotów „wola powszechna" i „wola ludu".

Przyjrzyjmy się kolejno omawianym zagadnieniom. Część pierwsza poświęcona jest analizom ustrojów prawno politycznych a przede wszystkim reżimom wyborczym różnych państw „zgodnie z tezą iż system powoływania władz mówi więcej o ustroju każdego kraju niż wszystkie inne przepisy prawne razem wzięte" (str. 124). Autorowi chodzi tu o stwierdzenie, o ile władze wybierane w wyborach były rzeczywiście reprezentacją woli powszechnej i o ile opinia publiczna mogła oddziaływać na losy spraw publicznych przez wybierany parlament. Szczególnie bliska sercu autora jest sprawa udziału w rządach najliczniejszych warstw społecznych, w tym okresie rozkwitu kapitalizmu kiedy „naprzeciwko potężnej klasy kapitalistów rośnie nowa i potężna klasa proletariatu". Przegląd swój autor rozpoczyna od monarchii konstytucyjnej. Przegląd ten doprowadza autora do stwierdzenia interesującej zależności zachodzącej między strukturą społeczną a systemem powoływania władz. Zwłaszcza zależność ta ujawnia się ostro w cesarstwie niemieckim. Pozornie demokratyczne konstytucje niemieckich państw związkowych „pełne są zasadzek i pułapek", mających na celu utrzymanie władzy arystokracji, sprzymierzonej z bogatym mieszczaństwem. „Jedno było wspólne obu tym grupom: obawa przed napierającą falą nowej klasy społecznej przed jej młodością i tężyzną. Sojusz nie był może zawsze łatwy i dla obu stron przyjemny, ale konieczny..." (str. 47). W walce z feudalizmem mieszczaństwo posługiwało się ideami egalitarystycznymi. To były lata „wiosny ludów". Wtedy i na początku swej kariery politycznej mieszczaństwo „głosiło chętnie, że gdy tylko lud wzmocni swą świadomość polityczną gdy zdobędzie większą oświatę — otrzyma pełnię praw wyborczych, zgodnie z teorią suwerenności narodowej" (str. 51). Lecz gdy na widoku zjawia się groźba socjalizmu te szczytne hasła zostają rychło zapomniane. Z analizy tych przemian Autor wyciąga wniosek: **„tam wszędzie gdzie klasa robotnicza reprezentuje jakąś siłę poważną i niebezpieczną, tam mieszczańskie sfery kapitalistyczne porzuca łatwo i bezboleśnie swoje liberalne i egalitarne ideały i albo pójdą śladem swojej polityki cenzusów pieniężnych, albo nawet gotowe będą na ustępstwa dla żywiołów konserwatywnych, byle się nie dać zaskoczyć pewnego dnia większości reprezentantów wspólnego obecnie wroga. Dla siebie zechcą sfery mieszczańskie zachować możność bogacenia się, w ścisłym zresztą sojuszu z arystokracją rodową"**, (str. 47). To tłumaczy nam wspomniana wyżej zależność polegająca na tym, że systemy wyborcze były demokratyczniejsze w tych państwach niemieckich, gdzie mniejsze było niebezpieczeństwo naporu zorganizowanych politycznie mas robotniczych, np. w Wirtembergii, (str. 54). Ten związek strukturalny przejawia się wyraźnie nietylko w państwach niemieckich lecz również w Japonii. Tam wszędzie „opinia publiczna nie przestała być wielką siłą społeczną, ale coraz mniej miłą, coraz bardziej niebezpieczną. Jej rządy nie mogą być ideałem, trzeba zrobić wszystko, aby uczynić ją najmniej szkodliwą i najmniej wpływową skoro nie zawsze można nią kierować" (str. 61; patrz również str. 239).

Na marginesie tych rozważań chciałbym podnieść jedną wątpliwość socjologiczną. Mianowicie nietylko Autor omawianej książki, ale i wielu teoretyków nauk społecznych, nie mówiąc już o publicystach, operuje takimi terminami jak „mieszczaństwo", „drobnomieszczaństwo", „arystokracja" itp. w charakterze nazw jakichś zwartych całości, okazujących jednolitą wolę i działających jak jedna osoba. Nie chcę poruszać tu sprawy wyraźnego realizmu socjologicznego, który przebija przez posługiwanie się tymi nazwami skrótowymi, lecz chciałbym podkreślić, że we wszystkich wypadkach mamy raczej na myśli pewne elity odpowiednich zbiorowości, które działają nieraz wśród silnego oporu nawet większości warstwy, z której wyłoniła się dana elita. Posługiwanie się takimi skrótami konstrukcyjnymi jak „mieszczaństwo", „burżuazja" itp. jest niewątpliwie korzystne metodologicznie, lecz trzeba pamiętać, że są to pewne konstrukcje naukowe a nie rzeczywiste twory społeczne. Posługując się takimi konstrukcjami upraszczamy złożoną rzeczywistość stosunków międzyludzkich, uzyskujemy korzystniejszy operacyjnie jej obraz, lecz równocześnie popadamy w niebezpieczeństwo hipostazowania pojęć i niebezpieczeństwo wiary, że tezy, które orzekamy o tym uproszczonym obrazie są tezami o rzeczywistości społecznej.

Następnie autor przechodzi do analizy „parlamentaryzmu klasycznego" w Anglii. W przeciwieństwie do Niemiec i Japonii gdzie w parlamencie nie można się doszukać wyrazu „woli powszechnej" i „opinii publicznej", parlament angielski — wydawałoby się — był bardziej związany z narodem. „Historyk parlamentaryzmu, G. L. Dickinson, sądzi, że w drugiej połowie XIX w. żadna poważniejsza sprawa nie mogłaby przejść w parlamencie, gdyby nie mogła jednocześnie otrzymać sankcji elektorów, a Dicey powiada wręcz, że co najmniej w czasie ostatnich stu lat prawo było produktem opinii publicznej". (str. 84). Tezy te autor przyjmuje z niedowierzaniem. „Między „wolą powszechną" a Izbą Gmin istnieją pewne powiązania, ale w żadnym wypadku nie można w pochodzącej z wyborów części angielskiego parlamentu widzieć odbicia panujących w społeczeństwie prądów. Podobnie więc, choć w formie mniej jaskrawej, widzimy w wolnościowej Anglii to samo zjawisko, co w autokratycznych Niemczech cesarskich, polegające na rozbieżnościach między narodem a jego prawa reprezentacją". (str. 96).

Analizując w dalszym ciągu ustroje Norwegii, Szwecji, Danii, Belgii i Holandii autor stwierdza, że „ustrój parlamentarny może, ale nie musi się łączyć z demokracją. Wtedy nawet gdy wiąże się on z teoretycznym uznaniem równości politycznej wszystkich obywateli, istnieją w strukturze parlamentaryzmu klasycznego zjawiska wyraźnie walczące z założeniem... iż opinia publiczna jest największą siłą polityczną czasów nowożytnych, i z teorią o woli powszechnej jako jedynym źródle władzy". (str. 119). We wszystkich wymienionych państwach, „zwycięskie mieszczaństwo nie brało zbyt poważnie własnych teoryj o woli powszechnej, nie chciało dopuścić do udziału w parlamencie opinii groźnych, narastających wciąż mas proletariackich". (str. 120).

Obszerny rozdział (46 stron) poświęca autor omówieniu demokracji prezydencjalnej Stanów Zjednoczonych. „Dla postawionego w niniejszej pracy celu wystarczy naświetlić z kilku chociażby stron te fragmenty politycznego życia „wielkiej demokracji amerykańskiej", które pozwoliłyby nam uchwycić najbardziej zasadnicze wiązadła między takimi zjawiskami jak „opinia publiczna" i „wola powszechna" z jednej a decydujące ośrodki życia publicznego z drugiej strony", (str.125). W rezultacie wszechstronnej i pełnej interesujących szczegółów i faktów analizy Autor stwierdza, że „Taki sposób wybierania najwyższego przedstawiciela władzy Stanów Zjednoczonych, który swoją więcej niż królewską pozycję wywodzi z desygnującej go „woli powszechnej" jest oczywiście po wielokroć drwiną z tejże „woli powszechnej", wtedy, gdy uznamy, że wola powszechna Stanów jest wolą większości tych wyborców, którzy się przy urnach wyborczych stawili". (str. 148). Chociaż więc formalnie składa się hołdy nie opinii publicznej „w istocie dąży się wszelkimi środkami do zachowania wpływów wbrew woli powszechnej w tym oczywiście wypadku, gdy niezgodna ona jest z interesem sfer wielkokapitalistycznych". Na pytanie zatem „czy wola powszechna obywateli, będąca konstytucyjnie źródłem wszelkiej władzy, jest istotnie w epoce rozkwitu kapitalizmu decydującą w powoływaniu naczelnych władz Stanów Zjednoczonych" (str. 165) Autor odpowiada zdecydowanie negatywnie.

W analizie demokracji szwajcarskiej, najbardziej związanej z ludem Autor wskazuje i analizuje ciekawe dla socjologa zjawisko „konserwatyzmu ludu" (str. 178). Autor dyskutuje tę sprawę wskazując niebezpieczeństwa wynikające dla demokracji typu szwajcarskiego odwołującej się do głosowań ludowych i każącej mu decydować o konkretnych sprawach państwowych. „Brak bowiem stale ludowi odpowiedniego wykształcenia do zrozumienia projektu i wolnego czasu do jego przestudiowania. Wciąż byłoby nieprawdopodobnym ryzykiem poddanie pod głosowanie chłopów i górali kodeksu handlowego czy prawa morskiego". (str. 183).

Studium „Sejmokracji francuskiej" jest niezmiernie interesujące. Pisząc swoją pracę we Francji autor miał pod ręką dosyć materiałów, żeby uchwycić zasadnicze rysy życia politycznego tej republiki, która była wzorem i przedmiotem podziwu tylu demokratów środkowej i wschodniej Europy. Obraz, jaki nam autor daje jest błyskotliwy lecz wnikliwy a zarazem wszystkie cienie zostały w nim mocno podkreślone. We Francji bardziej niż gdzie indziej rządziły kliki dobrze ukryte przed okiem opinii publicznej i wcale się z nią nie liczące. „W tym czasie, gdy kładziono w głowy młodym studentom, że najwyższym suwerenem jest opinia publiczna, uciekał przed nią parlament Republiki..." (str. 209). „Tak więc płynęło życie polityczne Francji za czasów Trzeciej Republiki dwoma odrębnymi nurtami, połączonymi niewidocznymi dla przeciętnego obywatela kanałami. Była polityka podziemna, zorganizowana, była jawna, chwiejna, błyskotliwa, ale pozorna, polityka dla tłumów, dla gawiedzi. Nie rozdzielały się one nigdy naprawdę, nie było między nimi sprzeczności jak tylko pozorne, ale mało o tym wiedział kraj, nie miała na nie wpływu opinia publiczna". (str. 216). Dodatkiem do charakterystyki ustroju francuskiego jest przedstawienie jego faz przeszczepienia na grunt państw wersalskich". Przyznam się, że osobiście z trudem trawię ten przymiotnik „wersalski", którym tak hojnie szafowała propaganda niemiecka w odniesieniu do Polski, sugerując przez to sztuczność i nietrwałość jej państwowości. W państwach tych „w kilka lat po Wersalu zaczął się wyraźny odwrót od demokratycznego ludowładztwa i wkrótce rządy „autorytatywne" zastąpiły wybory powszechne i „wolę ludu". (str. 242).

Ten przegląd, jaki autor daje, prowadzi do wniosków pesymistycznych. Wynika z niego bowiem — jeżeli dane i interpretacje tych danych przez autora są słuszne — że nie stnieje wśród badanych przez niego ustrojów ani jeden taki, w którym teoria władzy wypływającej z woli powszechnej znalazłaby pełne zastosowanie. W każdym z tych ustrojów władza zostaje skupiona w rękach nielicznych elit, opartych o władzę administracyjno policyjną lub potęgę gospodarczą, które rządzą nie licząc się z opinią publiczną lub oszukując ją zręcznie zachowywaniem pozorów, lub też, jak wykazuje druga część książki, urabiając opinię i wolę polityczną obywateli systematycznym ogłupianiem i tumanieniem przez prasę i inne środki propagandy. Czyż zatem „wola powszechna" nie jest urojeniem, mitem w który ludzie wierzą i która to wiarę podtrzymują „obrotni kuglarze", jak mówi Znamierowski, dla celów dalekich od tych, w które wierzą obywatele? Omawiana książka jest tylko wstępem. Może w dalszych tomach autor odpowie nam na to pytanie: czy ze zmianą warunków gospodarczych i ze zmianą struktury społecznej teoria woli powszechnej jako źródła władzy ulegnie zmianie lub też znajdzie realizację dopiero wtedy, kiedy władza polityczna przesunie się do rąk partyj robotniczych?

Wydaje mi się, że odpowiedź na tak wieloznaczne pytanie, mogłaby nastąpić dopiero po wyraźnym oddzieleniu przez empirków rzeczywiście zachodzących zjawisk politycznych od wyobrażeń o tych zjawiskach i od ideologicznych zamierzeń, dążeń noszących wyraźny charakter derywacyj i spełniających ich funkcje. W każdym razie z analiz Autora opartych na tak bogatym materiale widzimy, że w omawianej epoce kompleks zjawisk zwany skrótowo „opinią publiczną" i pochodnie z nim związane zjawiska „woli powszechnej" spełniały w życiu politycznym rolę pewnych teoryj raczej ideologicznych niż naukowych, rolę haseł politycznych, którymi zasłaniały się jak elementami obrony elity rządzące w swej strategii politycznej. Wpływ „opinii publicznej zaznaczał się w urabianiu wyobrażeń podobnych u większych ilości obywateli o życiu politycznym i o tyle miał swoją doniosłość polityczną, o ile doniosłe są te wyobrażenia w wyznaczaniu ludzkiego postępowania.

Przechodzimy do drugiej części dzieła. „W pierwszej części chętnie zatrzymaliśmy się nad tym wszystkim, co fałszowało opinię publiczną, co niesłusznie uchodziło za jej wyraz, co nie miało prawa do tej nazwy. W tej części dochodzimy do stwierdzenia, że istnieją możliwości takiego wpływania na opinię publiczną, by wyrażała ona sądy błędne, wynikające bądź to z wadliwego rozumowania, bądź nawet po prostu z wadliwej rozmyślnie informacji. Dlatego też uznać musimy, za rzecz pierwszej wagi dla poznania opinii publicznej rozpatrzenie zagadnienia, jakie są związki między opinią publiczną a informacją oraz w czyich rękach znajduje się aparat informacyjno-propagandowy" (str. 252). Część ta ma charakter bardziej szkicowy niż analizy części pierwszej. Niemniej ukazuje charakterystyczne rysy organizacji służby informacyjnej, ujawniając jej ścisłe związki z odkrytymi w pierwszej części mechanizmami rządzenia.

Wydawałoby się, że jeśli najwyższym źródłem władzy jest wola powszechna będąca pochodną opinii publicznej, to zadaniem wykonawców władzy powinno być rzetelne informowanie obywateli o zdarzeniach doniosłych dla państwa, troska o ich poziom myślenia o sprawach publicznych itp. czyli informacja powinna mieć na celu troskę o „dobro publiczne". (Dodaje dla wyjaśnienia, że autor w omawianej książce nie posługuje się tym niejasnym zwrotem). Otóż tak nie jest. Propaganda w omawianym okresie historycznym spełniała wręcz odwrotne zadania. Oto jak autor je charakteryzuje: „Musi ona tylko umieć odciągnąć uwagę jednostki czy grupy, która propagandzie ma ulegać, od wszystkiego, co pozwoliłoby na zbyt trzeźwą analizę własnej sytuacji i wtłaczanych przez propagandę haseł i poglądów. A potem puszcza się w ruch sprężynę propagandy świadomej, a umiejętny werbunek propagatorów nieświadomych wykańcza całą pracę". (str. 254). Propaganda nieświadoma to jest spontaniczne komunikowanie sobie wiadomości przez ludzi, omawianie zdarzeń, tak ważne w szerzeniu się przekonań i pogłosek. „Brak zaś propagatorów mimowolnych nieświadomych, brak wypowiedzi na jakiś temat może uniemożliwić po prostu na tym odcinku jakąś propagandę tendencyjną, nieświadomą". (str. 254). Analiza jednak wskazuje granice skuteczności propagandy i Autor stwierdza, że „cudów propagandą tworzyć nie można i w wysoko uświadomionym społeczeństwie jest ona niezwykle trudna". (str. 258). W omawianym okresie historycznym mamy do czynienia przede wszystkim z propagandą słowem drukowanym. Kino i radio zjawiają się dopiero u jego schyłku i nie są dla niego charakterystyczne. To też na pierwszym miejscu zainteresowania Autora skupiają się na zagadnieniach organizacji prasy.

„Trzy są kwestie, które trzeba zawsze uwzględnić, gdy pragnie się poznać związki między prasą a opinią publiczną: a) jaki jest system polityczno prawny, normujący życie prasy, b) w czyim ręku znajduje się faktyczne władanie prasą oraz c) do jakich grup społecznych prasa dociera. Wszystkie inne sprawy są albo pochodne od trzech wymienionych, albo w istocie drugorzędne. Na tych też problemach skupić pragniemy nasze zainteresowania przy czym zdajemy sobie doskonale sprawę, że naświetlamy tylko fragmentarycznie całość zagadnienia, poszukując jedynie punktów wyjątkowo jaskrawych" (str. 265). Szukając odpowiedzi na te pytania Autor analizuje organizację i funkcje prasy w tych państwach, których ustroje poznaliśmy w części pierwszej. Analizy te przynoszą wiele interesujących informacji, będących cennym materiałem nie tylko dla historii politycznej lecz i dla historii kultury i dla socjologii. W rezultacie Autor stwierdza, że „Reżim ogólnie określany jako system „prasy wolnej" istniał w okresie rozkwitu kapitalistycznego we wszystkich głównych krajach, określanych ogólnie jako demokratyczne..." i tylko ten system do pewnego stopnia można uważać za reprezentację opinii publicznej. Jednakże „Faktyczne władanie prasą „wolną" przechodziło w badanej epoce coraz wyraźniej w ręce nielicznej grupy przedsiębiorców, traktujących swą pracę handlowo, a ponadto przemożny wpływ na treść każdego dziennika wywierają te czynniki, które pokrywają jego wydatki i zapewniają wydawcy rentowność jego przedsiębiorstwa". (str. 302). Są to przede wszystkim ogłaszające się wielkie firmy przemysłowe i handlowe, czasami ugrupowania polityczne. Jeśli chodzi o trzecie pytanie, to Autor stwierdza, że „W liberalnych państwach kapitalistycznych nie ma środowisk społecznych nie objętych zasięgiem wpływu prasowego".

Wnioski, jakie autor wyprowadza ze swoich analiz są równie pesymistyczne jak i wyniki analiz pierwszej części. „Fikcja swobody słowa i druku jest może jedną z najjaskrawszych fikcyj równości demokratycznych uprawnień obywateli w państwie o ustroju liberalno-kapitalistycznym, gdzie sfery w państwie decydujące usiłują przez nacisk ekonomiczny wywołać te same efekty, jakie w państwach typu Niemiec cesarskich czy Japonii osiągały przez obowiązujący przepis prawny" (str. 302). Kształtowanie opinii publicznej przejęło w swoje ręce dziennikarstwo „informacyjne", które „Rozporządza „do perfekcji doprowadzoną metodą ogłupiania przez rozmiłowanie czytelnika w sensacji i skandalu, nie gardzi kłamstwem i kalumnią, włada najstraszniejszą bronią: milczeniem. Ogłupiać, usuwać sprzed oczu wszystko, co nakazywałoby myśleć, wszystko, co zastanawia głębiej, co pozwoliłoby formować się opinii publicznej — o to jej zadanie". (str. 303).

Niewątpliwie obraz naszkicowany w głównych rysach mocnymi pociągnięciami jest uproszczony. Nie w tym jednak rzecz. Książka Jabłońskiego jest w naszej literaturze pozycją wyjątkową. Jeżeli przejrzymy przepisy obejmujące 348 odsyłaczy i ok. 60 stron petitu, to znajdziemy tam zaledwie kilka polskich dzieł z tego zakresu. Jest więc to książka prawie pionierska, wprowadzająca do rozległej dziedziny wiedzy społecznej, niezwykle ważnej dla pracowników naukowych i praktyków w dziedzinie polityki i pracy społecznej. Lecz bogactwo materiału konkretnego, bogactwo informacyj ukazujących plastycznie ten wzburzony okres jeszcze nie przeżytej historii, uczyni książkę pasjonującą dla każdego czytelnika.

Jan Szczepański.

*) Henryk Jabłoński: Opinia — Parlament —Prasa. Wstęp do badań roli opinii publicznej w epoce rozkwitu kapitalizmu. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa. 1947. Str.362.

Wszystkie księgarnie sprzedają już książkę

Zygmunta Szymańskiego

p. t.

„JAROSŁAW DĄBROWSKI"

Jest to życiorys jednego z organizatorów Powstania Styczniowego, wielkiego demokraty i Polaka, który padł za swe przekonania na barykadach Paryża. Egz. 140 - zł

KRONIKA FRANCUSKA

W zeszytach paryskiego Przeglądu Socjalistycznego na miesiące styczeń i luty znajdujemy dwa artykuły bilansujące: jeden — zagadnienia dotyczące współczesnej powieści francuskiej, drugi — poezji. Oba one mają wydźwięk wyraźnie pesymistyczny. Autor pierwszego, Roger Ikor nie odpowiada wprawdzie na pytanie postawione w tytule rozprawy **„Wyczerpanie powieści, czy przerwa?"** tym niemniej wzbudziwszy niepokój co do dalszych losów francuskiej powieści pozostawia ze zbyt łatwą pociechą: „Przyszłość pokaże".

Po roku 1939 autor obserwuje kryzys powieści francuskiej, nie dotrzymującej kroku innym rodzajom literackim, a zwłaszcza dramatowi i poezji. Jest to tym wyrazistsze, że okres poprzedzający wojnę obfitował w różnorodną i bogatą twórczość powieściową. Lecz właśnie w tym bogactwie i obfitości kryły się przyczyny rozkładu. Od Balzaca, jeśli nie od Rousseau'a powieść przekroczyła prostą intrygę miłosną i zaczęła wyrażać treści społeczne.

W okresie międzywojennym powieść porywała się już na wszystko — od metafizyki, poprzez poezję, politykę, psychologię, socjologię. Tej różnorodności merytorycznej odpowiadało bogactwo przedstawień formalnych. W budowie powieść naśladowała dramat, fresk, poemat, rozważania. Na pytanie: „Co to jest powieść?" łatwo było odpowiedzieć przed 1914 rokiem, potem niepodobna. Powieść straciła swą bazę, oddaliła ją od rygorów rodzaju.

Autor rozprawy przyjmuje określenie powieści jako opowiadanego dramatu. Ale powieść nowoczesna wyzbyła się niejako swej istoty. Intryga przestaje być potrzebna. Zadawalamy się samym poczuciem rozwoju i narastania treści, kierunkiem wstępującym i zstępującym akcji, choćby była ona najmniej określona. Wszystko jest w porządku, gdy pisarz utrzymuje nieustannie ów prąd główny. Gdy zatraci go — powieść — rzeka staje się powieścią — bagnem, w którym grzęźnie każdy krok. „Powieść nie jest Historią a zbiorem historyjek". „Ludzie Dobrej Woli" to przykład właśnie zatracenia prądu głównego narracji. Podobnie „Thibault" Martin du Gard'a porównuje Ikor do łanu, na którym wyrastają oddzielnie kłosy. Dopiero Epilog wiąże je na koniec w snop.

Bohaterami nowoczesnych powieści przestali być wyłącznie ludzie, czy ludzie żywi. Wieśniacy w powieści Giono są tylko imionami, dramat istotny dzieje się wśród sił przyrody, w których nie ludzie uczestniczą a symboliczny Człowiek. Powieść w swoim niepohamowanym przez żaden klasycyzm rozwoju wtargnęła w obce sobie dotąd dziedziny: poezję, działalność praktyczną i naukę. Poezja stanowiła w dziełach Rousseau, Bernardina de Saint Pierre, Chateaubrianda i Balzaca tylko ozdobnik, czy środek do podmalowania tła, atmosfery, wskazania perspektywy dla symbolu. Pierwszy Ramuz obrał sobie przedmiot poetyki dla powieści. Ramuz i Giono nie mogli już pójść krokiem dalej w obranym kierunku, jeśli mieli pozostawać w sferze powieści. Zbliżyli się już zbytnio do eposu, do Homera, którego ludzie stają się bogami. Język zamiast opowiadać służył do deklamacji. Pomimo pozorów ludowości, prostoty — usztucznił się jak język Homera dworski i zarazem ludowy.

Nie mniejsze niebezpieczeństwa czekają powieść na drugim terenie jej uzurpacji: działania praktycznego. Powieść francuska wprawdzie była zawsze społeczna, jest to jej największą zasługą w historii literatury powszechnej — lecz od obiektywnej obserwacji w okresie międzywojennym do samej propagandy, weszła w zgiełk życia politycznego i społecznego.

Do roku 1925—30 literatura francuska pod przeważającym wpływem Prousta psychologa i artysty, a nie monografa środkowego, zamykała się w wieży z kości słoniowej, popisywała się abstrakcyjnością problemów i błyskotliwym artyzmem słowa. Około 30 roku przeczywistość zaczęła podmywać ten gmach. Kryzys ekonomiczny, groźba wojny zmusiły pisarzy do otwarica oczu. Głównym tematem powieści staje się walka jednostki ze społeczeństwem, postaci ludzkie nabierają krwistości, odwracają się od swych wnętrz, poruszają się społecznie. Faszyzm, komunizm, terminy publicystyczne wchodzą do języka literackiego. W międzyczasie wobec izolacji literatury powojennej od problematyki życia, tworzy się ciekawa literatura proletariacka i chłopska (Rogissart, Van den Meersch), która obudzonej po roku trzydziestym powieści przekazuje wzbogacony mową potoczną i gwarą język. Na próżno biadają wielbiciele przeszłości nad utratą najistotniejszych cech francuskiego ducha: jasności, ścisłości, intelektuallizmu.

Martin du Gard, Malraux są najwybitniejszymi przedstawicielami tej tendencyjnej, niemal politycznej powieści.

Trzeci kierunek imperializmu powieściowego to nauka. Stendhal zalecał przecież obiektywizm opisu, zwierciadlaną odpowiedniość przedstawienia literackiego wobec rzeczywistości. I zamierzenie Balzaka było historyczne i dotykało nauk przyrodniczych, jak realiści znów z Flaubertem na czele dążyli do ścisłości psychologicznej. Także fotografia i etnografia od Bernardina do Saint-Pierre do Piotra Loti upodobały sobie rodzaj powieściowy dochodząc od reportażu przy stopniowym zaniku fabuły. Nie łatwo się tu ustrzec nudów popularyzatorstwa wiedzy lub aforimizmu Romains'a. Proust zaś w analizie psychologicznej stanął na samym brzegu powieści i tok jego narracji chwilami nie różni się od języka Bergsona.

W ten sposób próbuje się tłumaczyć brak wybitnej powieści w dzisiejszej literaturze francuskiej.

Chociaż Ikor przyznaje poezji większą żywotność w stosunku do powieści — autor rozprawy **o poezji francuskiej XX wieku — Pierre Cartex** widzi i w poezji stan używania tylko zdobyczy poprzedniego wieku, brak nowatorstwa charakterystycznego dla powieści okresu międzywojennego. Pewna jałowość w produkcji poetyckiej idzie w parze z ożywioną dyskusją na temat poezji, z mnożeniem się doktryn i szkół poetyckich. Tu również bardziej nas zajmą rzeczowe stwierdzenia niż chwiejne refleksje własne autora na temat filozoficznej wspólnoty i metafizycznego sensu poezji. Benda i Caillois wytaczają surowie zarzuty wobec poezji współczesnej. Benda oskarża ją o niezrozumialstwo i estetyzm, przypomina tradycje francuskiego racjonalizmu. Caillois widzi w poezji także uzurpatora — sięgającego po nieswoje treści — do magii, mistyki, muzyki. Poeci chorują jego zdaniem na nadmiar pychy i ambicji, wieszczą zamiast po prostu wyrażać uczucia.

Bessad Massent układając antologię — „szlakiem uczucia" — marzy o nowym romantyzmie. Podobnie Gregh wielbi w Verlaine'ie „poetę serca" i woła: „Czas porzucić drogi brukowane diamentami Mallarmé'go i Valery'ego a odnaleźć królewski szlak francuskiej poezji — szlak Ronsarda i Viktora Hugo. Poeci Ruchu Oporu wyrażają nowy romantyzm przeważnie na podłożu surrealizmu. Lecz i ta poezja budzi niepokój. André Breton obawia się zasklepienia poezji w doktrynie i grupuje poetów w obronie niepodległości poezji. Benjamin Péret — towarzysz Bretona pisze: „honor poetów, którzy oddali swój talent w służbę Oporu lub Rewolucji, polega na tym, aby przestali być poetami stając się propagandzistami" — i przypomina podstawy surrealizmu: „z prawdziwego poematu wyrywa się dech wolności zupełnej i czynnej, nawet jeśli ta wolność nie ma żadnego aspektu politycznego czy społecznego, a przez nie przyczynia się do ostatniego wyzwolenia człowieka".

Wobec tych zarzutów młodzi poeci francuscy nie mają postawy zdecydowanej. Szukają wzorów. Katolicy instynktownie zwracają się do Claudela, wielbiciele czystego intelektu do Valery'ego .

Cóż wobec tego impasu poetyckiego znaczą owe analizy mistycznej tajemnicy aktu poetyckiego, jakie uprawia Maulnier, algebraiczne klucze poetyckie Paulhana? Zwątpienie Castex'a w możność znalezienia klucza do poezji w ogóle jest w zakończeniu tych wywodów laickie i zabawne.

Anna Kamieńska

PRZEGLĄD PRASY

Dwa pisma w Polsce uprawiają politykę kompletnej izolacji od współczesności literackiej i kulturalnej. Jedno z nich — ograniczyło zasięg swoich zainteresowań terytorialnie, drugie—socjologicznie. Pierwsze przyjęło za zasadę granicę wschodnio - północną województwa śląskiego, drugie — granicę wiejskich oplotków. Wymieniam tu tylko podobieństwa oczywiście pozorne, każde bowiem z tych ograniczeń ma na celu co innego.

„Wieś" pragnie zmienić tradycję kulturalną wsi polskiej. Tradycja ta bowiem nie nadąża jeszcze za doniosłymi przemianami ekonomicznymi i społecznymi. W dziedzinie kulturalnej teoretyczne artykuły „Wsi", myślę tu przede wszystkim o artykułach J. A. Króla, z pewnością spełniają swoje reformatorskie zadanie. Król w pracach dotychczas opublikowanych na łamach tego czasopisma przeprowadził krytykę zachowawczych tendencji chłopskiego personalizmu, który opierając się na psychologii jednostki, pomija całkowicie rolę instytucji ekonomicznych i społecznych, neguje faktyczne rozwarstwowienie wsi, przymyka niechętnie oczy na zmianę treści kulturalnych, jaką pociąga za sobą polityka wyrównania sprzeczności pomiędzy wsią i miastem, czyli innymi słowami polityka włączania wielkich mas ludowych do kultury ogólnonarodowej. Jednocześnie jednak, w dziedzinie literatury, na łamach „Wsi" panowało ghetto chłopskie. Tematyka utworów opublikowanych dotyczyła wyłącznie zagadnień związanych bezpośrednio ze sprawami wiejskimi. Młodzież chłopska, czytając od dwóch lat to pismo, mogłaby przypuszczać, że najbardziej żywym zagadnieniem naszej literatury po wojnie jest to, czy należy, czy też nie należy pisać gwarą.

Artykuły o literaturze, jakie zostały zamieszczone dotąd w kilkudziesięciu numerach tego pisma ograniczyły swój zasięg do spraw literatury stricte chłopskiej, uprawianej przez pisarzy chłopskich. Historia literatury, która obowiązuje we „Wsi" to bynajmniej nie historia literatury narodowej, ale historia literatury chłopskiej.

Zapewne istniały poważne powody, dla których w początkowej fazie organizacji Związku Zawodowego Literatów pisarze chłopscy zamknęli się w odrębnej sekcji. Nie będę tu wypowiadał poglądu na temat słuszności tego podziału. Wydaje mi się jednak, że organizacja oddzielna miała służyć przede wszystkim zbliżeniu mas chłopskich do kultury ogólnonarodowej, zgodnie ze zbliżeniem na innych odcinkach życia narodowego, które w wyniku zasadniczej reformy stało się wspólne dla trzech pracujących warstw narodu: robotników, chłopów i inteligencji.

Tymczasem „Wieś" zasilana niemal wyłącznie w dziedzinie literatury przez pisarzy chłopskich dawała swojemu czytelnikowi niepełny obraz współczesnej literatury narodowej, jak również przyczyniła się do opóźnienia wyrównywującego procesu pomiędzy czytelnikiem wiejskim i przeciętnym czytelnikiem miejskim.

Wydawałoby się, że mając taki środek oddziaływania, jakim jest pismo rozchodzące się w pokaźnej ilości egzemplarzy, redakcja mogłaby w popularny sposób zaznajomić swojego wiejskiego czytelnika z ogólnonarodową problematyką kulturalną i dawać mu do czytania zamiast ckliwych i sentymentalnych tekstów, idealizujących anachroniczne formy życia, chociażby klasyczne teksty naszej literatury, z których wiele jeśli idzie o fabułę, związanych jest z życiem wiejskim, jeśli już uprzemy się, że wieś innej tematyki w ogóle nie przyjmuje.

W swojej dotychczasowej fazie „Wieś" w dziedzinie literatury pozostaje daleko w tyle w stosunku do głoszonych przez siebie haseł teoretycznych. Działa tu normalne w tym wypadku zjawisko opóźniania się wyobraźni pisarzy, a co za tym idzie i ich warsztatu technicznego, w stosunku do teorii. Teksty literackie „Wsi" w znakomitej swojej większości są spóźnione o dobre kilkadziesiąt lat.

Z drugiej zaś strony skupienie problematyki wsi w jednym tylko piśmie, jakgdyby zmonopolizowało te sprawy. Nie znajdziemy na łamach polskiej prasy literacko - społecznej (poza kilkoma artykułami Franciszka Gila w „Odrodzeniu") ani jednej prawie pozycji z zakresu spraw wiejskich. Pisarze wiejscy z małymi wyjątkami od reguły nie są znani czytającej publiczności miejskiej. Składają się na to przyczyny oczywiście różne, między innymi wąskie granice warsztatu technicznego tej literatury. W sumie otrzymujemy obraz mało pocieszający: w okresie komasowania naszego życia kulturalnego, w okresie rozsądnej centralizacji niechętnej oceny regionalizmu, jako czynnika osłabiającego i prymitywizującego kulturę, nie dzieje się nic, by praktycznie ci ludzie na wsi, którzy zostali już w jakiś sposób włączeni do spraw intelektualnych, zetknęli się bezpośrednio z problemami ogólnonarodowej kultury.

Sprawa „Odry", uprawiającej ghetto terytorialne, jest oczywiście sprawą innego rzędu. „Odra" jest coprawda jednym z niewielu, a może nawet jedynym pismem, które informuje nas regularnie o sprawach niemieckich, choć nie zawsze czyni to w sposób umiejętny i słuszny. Z drugiej jednak strony „Odra" zaspakajając potrzeby kulturalne mieszkańców Śląska informuje ich jednostronnie o literaturze i sztuce polskiej. Jeśliby mieszkaniec Nisy czy Wałbrzycha nie czytywał innego pisma prócz „Odry", o co jak mi się wydaje nie trudno, mógłby sobie wyrobić błędne mniemanie, że literatura polska ogranicza się do dzieł pisarzy zamieszkałych na Śląsku i to dość specyficznie dobranych. Wydaje mi się, że „Odra" jako jedyne pismo śląskie tygodniowe, mogłaby bez szkody uprawiać politykę wymienną: informować kraj o sprawach śląskich, które tak są dziś dla nas ważne i odwrotnie informować Śląsk, a zwłaszcza tereny najbardziej wysunięte na Zachód o sprawach ogólnokrajowych w sposób możliwie obiektywny. Niechby tak górnik czy lekarz, zamieszkały na Śląsku mógł się dowiedzieć z „Odry", że prócz Aleksandra Widery i M. Klimas - Blachutowej, o której czytamy w notatce „Odry" w nr 19 („W Zagłębiu Dąbrowskim coraz lepiej"), piszą i wydają w Polsce swoje książki pisarze tacy jak Leopold Staff, Zofia Nałkowska czy Jarosław Iwaszkiewicz. „Odra" z uporem godnym lepszej sprawy zamieszcza od kilku numerów pretensjonalne i nonsensowne korespondencje p. Bronisława Kamińskiego z Paryża, natomiast ignoruje Warszawę, czy Łódź, o Krakowie wspominając tylko niekiedy. A przecież te trzy środowiska tworzą w tej chwili obraz życia kulturalnego kraju. Nie jestem ksenofobem ani ślepym miłośnikiem swojszczyzny, ale chciałbym, parafrazując sens jedynej myśli p. Dzikowskiego, powiedzieć „Odrze": Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie.

ph.

W Poznaniu na Targach

Podróż na Targi Poznańskie była bardzo wesoła. Jechałem ciężarówką z kilkoma starszymi panami, którzy wiele sobie po tych Targach obiecywali. Pan Paw, mój towarzysz, cieszył się zwłaszcza na dwie śliczne Bułgarki w zagranicznym pawilonie i na poznańską golonkę. Poza tym chciał jeszcze osobiście poskrobać jedną maszynę rzekomo krajowej produkcji i dodrapać się do sprytnie zasmarowanej niemieckiej etykiety firmowej. Bo to wszystko blaga z tą wystawą! I że nareszcie zdemaskuje naszą gospodarkę. Że jedzie się tylko upewnić. Sprawdzić empirycznie. Do Poznania przyjechaliśmy w nocy i po wylegitymowaniu się dostaliśmy pokoje w Gospodzie Targowej. Rano poszliśmy na Targi. Ogonek przed kasą był strasznie długi. Musieliśmy czekać na wykupienie biletów przez 380 maleńkich harcerek z Sosnowca i dwa przedszkola oraz jeden żłobek z Wrocławia. Dzieci głośno krzyczały i chciały zaraz do maszyn, lodów i statystyk. Ruszyły szturmem pod opieką zakonnic na wielką lokomotywę Cegielskiego i oblepiły ją szczelnie. Wtedy przemknęliśmy się bokiem do pawilonu włókienniczego. Tam znowu krzyczały zachwycone kobiety, rwąc się z rąk mężczyzn do jedwabi milanowskich, wełen, kretonów i koronek. Na szczęście nic nie mogły kupić, więc mężczyźni nie zdradzali większego zdenerwowania. Materiały albo wspinały się po ścianach, albo z powodzeniem udawały kolumny. Później poszliśmy do tych Bułgarek. Ale one nie były wcale takie ładne — aż się ciemno robiło przed oczami — takie były czarne. Wszyscy lecieli raczej na bułgarskie papierosy z ich rączek. W sowieckim pawilonie najładniejsze były futerka, duże ryby i kawior. Kawioru nie dawali próbować, więc byłem wściekły i brzydko wyraziłem się o chmurkach sunących nad Kremlem. Odtąd już konsekwentnie udawałem, że nic mnie w tym zasobnym pawilonie nie interesuje. Pozwoliłem sobie tylko na ukradkową kontemplację pięknego sowieckiego auta, ponieważ stało już poza obrębem pawilonu. Poszedłem do działu francuskiego przeglądać książki i czasopisma, ale od książek odepchnęły mnie brutalnie dzieci z przedszkola. Później głośno krytykowały francuską literaturę dziecięcą, słabszą i gorzej ilustrowaną od naszej. Ostentacyjnie zaczęły czytać Brzechwę. Zabrnąłem i do działu ciężkiego przemysłu i do kryształów i do ślicznej galanterii, naszej i zagranicznej. Wprawiałem w ruch wystawione dźwigi i co pomniejsze maszyny rolnicze. Zaglądałem do puszek „Społem" i sprawdzałem miękkość krajowego wyrobu foteli. Ci poznaniacy są widocznie ostatnio bardzo za ascezą. Zmusili nas do swoistej wstrzemięźliwości targowej. Napróżno szukałem niezajętej ławki, krzesła, kamienia, albo chociażby słupka u parkanu, by dać spocząć strudzonemu ciału. Na próżno szukałem miejsca w restauracji targowej. — Wreszcie pan Paw dopuścił mnie do szóstej z kolei porcji swej kaszanki i miejsca przy swoim stoliku. Później poszedł dalej skrobać swą maszynę. Wypoczęty i pokrzepiony tą kaszanką począłem życzliwie spoglądać na targi. Coraz bardziej zaczęły mi się podobać. Wydały mi się tak szczególnie młode i zaciekłe w swej woli reprezentowania naszego krajowego dorobku. Odważne i obowiązkowe. Teren Targów jest jeszcze częściowo zdewastowany. Wiele jest martwych nieodbudowanych pawilonów. Wieża Górnośląska jest obcięta i skrócona, ale już pracowicie zapełniona eksponatami. Brak wymuskanych trawników, jasnych żwirów, ławek i podobnych ozdób, wygód i atrakcji znanych bywalcom z przed wojny. Znać pośpiech i upór w odbudowie i staranność w sprawach zasadniczych. To pokazanie naszej produkcji, naszych umiejętności, to podstawienie pod cyfry statystyk prawdziwego, niebylejakiego, wytrzymującego zagraniczną konkurencję towaru — napawa szacunkiem i radością. Unaocznienie możliwości eksportu i wymiany, poddanie naszej produkcji oględowi ogromnej Komisji Rewizyjnej zwiedzających — to poważne osiągnięcie Targów. Są one argumentem na korzyść naszego planu gospodarczego. Są koniecznym podsumowaniem, niezbędnym dla społeczeństwa, które często musi zobaczyć, dotknąć się, aby uwierzyć. Ale Targi były nie tylko śliczną wiosenną, trochę jeszcze niezręczną w szczegółach rewią naszego dwuletniego wysiłku. Zostały zawarte realne umowy z zagranicą. Zademonstrowaliśmy się jako interesujący i wielostronny dostawca dla rynków światowych. I to jest najważniejsze.

Kandyd

Koty

Nafta rządzi światem

Korespondent dziennika „PM" donosi, iż w Londynie toczą się rokowania między wielkimi koncernami naftowymi, które były udziałowcami towarzystwa „Iraq Petroleum Company". Pertraktacje, w których biorą udział Standart Oil Co, Anglo - irańskie Towarzystwo, Shell Co. i Francuskie Towarzystwo Naftowe, mają na celu podniesienie wydobycia nafty na Bliskim Wschodzie z 4 do

12 milionów ton rocznie oraz ujednostajnienie cen światowych. Wydobycie nafty — pisze dziennik „PM" jest tak dalece skartelizowane, że mimo zwiększonego wydobycia zostały utrzymane ceny produkcji amerykańskiej, która jest znacznie kosztowniejsza niż wydobycie na Bliskim Wschodzie. Rezultatem tego będzie, że ciężar utrzymania jednolitych cen na rynkach światowych spadnie całkowicie na konsumenta, a koncerny zgarną olbrzymie dodatkowe zyski. Przewidywana jest inwestycja nowych kapitałów dla budowy rurociągów naftowych i instalacji technicznych. Większa część sprzętu technicznego będzie naturalnie dostarczona przez Stany Zjednoczone.

bs.

List otwarty prof. Williama Rose

Dziennik „Manchester Guardian" ogłosił list otwarty prof. Williama Rose, polemizujący ze stanowiskiem, zajętym przez znane pismo liberalne w sprawie zachodnich granic Polski.

Prof. Rose pisze: „Kto jak ja widział wstrząsające ruiny Wrocławia i okolicy, — tego muszą zadziwić słowa, zawarte we wstępnym artykule dziennika „Manchester Guardian" — stwierdzające, że jedne z najlepszych terenów rolniczych na wschodzie Europy nie dają swego wkładu w dobrobyt ogólny.

To samo możnaby w chwili obecnej powiedzieć o wielu innych częściach Europy. Lecz nikt, kto realnie ustosunkowuje się do faktów nie będzie winił Polaków za to, że zostawiono im ziemie, nie tylko zniszczone przez odstępujących Niemców, ale również ograbione.

Jeżeli wziąć pod uwagę warunki, w jakich zmuszeni byli pracować Polacy, to można jedynie wyrazić zdziwienie, że tak wiele zostało wykonane w tak krótkim czasie.

Trudno również zrozumieć twierdzenie artykułu „Manchester Guardian", że „sprawa nowych granic polsko - niemieckich teraz dopiero ujrzała światło dzienne". Przecież sprawa ta nabrała wielkiego rozgłosu już od czasów konferencji poczdamskiej.

Uchwały konferencji w Poczdamie, podobnie jak uchwały poprzednich konferencyj stanowiły decyzję wielkich mocarstw wobec żywotnych interesów sojusznika, przy czym nie pozwolono mu w tej sprawie ani zabrać głosu ani wysunąć swoich życzeń.

Zmiana tych decyzji skrzywdziłaby straszliwie miliony ludzi, którzy wierzyli w uczciwość dokumentów międzynarodowych. Rewizja granic polsko-niemieckich byłaby co najmniej czynem nierozsądnym i napewno nie przyczyniłaby się do podniesienia prestiżu wielkich mocarstw.

Polemizując z doniesieniem pochodzącym z Hamburga i twierdzącym, że „tereny przyłączone obecnie do Polski były głównym źródłem wyżywienia narodu niemieckiego", prof. Rose pisze, że jest to jeszcze jeden dowód specjalnej propagandy, tak bardzo popularnej w latach trzydziestych. Można najwyżej stwierdzić, że tereny te były „jednym ze źródeł gospodarki rolniczej Niemiec" i jak wykazują przedwojenne statystyki niemieckie, źródłem bardzo nieznacznym.

Oczywiście—stwierdza prof. Rose—Niemcy czują żal za to co się stało, nie podoba im się, że przegrali wojnę w ciągu której obiecywano im panowanie nad Europą. Zastanawiającym jest jednak, że istnieje w Wielkiej Brytanii wiele ludzi, którzy są poważnie zaniepokojeni tym, że główny sprawca dzisiejszych cierpień świata ponosi stratę terytorialną. bs.

Szwajcarska demokracja

12 kwietnia Pierre Hervé, znany publicysta „Action", zaproszony do Szwajcarii w celu wygłoszenia tam szeregu mów, otrzymał następujące zarządzenie federalnych władz szwajcarskich:

1. Mówca zostaje zobowiązany do niemieszania się w sprawy polityki wewnętrznej Szwajcarii.
2. Mówca musi się powstrzymać od wszelkiej krytyki i negatywnych uwag wobec państw obcych.
3. Mówca musi się w swej mowie hamować, aby nie skompromitować neutralności szwajcarskiej.
4. Z wyjątkiem dwóch mów, na które otrzymał zezwolenie, nie wolno mu zabrać głosu na forum publicznym, w kołach prywatnych ani w szwajcarskim radio.

Jeżeli te warunki nie będą dotrzymane władze szwajcarskie odbiorą p. Hervé prawo wstępu do Szwajcarii i nie zezwolą mu w przyszłości na zabieranie głosu na terytorium Szwajcarii.

Pierre Harvé wygłosił więc dwie mowy, w Genewie i Lozannie (nb. obie cieszyły się wielkim powodzeniem) i wyjechał do Francji. Ale bawiącym w tym samym czasie na terenie Szwajcarii Maurice Schumannowi i Etienne Gilson, dwom przedstawicielom MRP, władze federacyjne nie czyniły żadnych trudności i ograniczeń w wypowiadaniu swych poglądów.

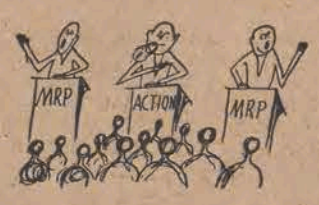

mm

K v S

Też von Schumacher. Ale nie Kurt. Karl. Czołowy publicysta znanej szwajcarskiej „Die Weltwoche", i jej redaktor naczelny. Kiedy w Łodzi „Kuźnica" drukowała artykuły o rodowodzie Schumachera i o morderstwie Karola Liebknechta i Rozy Luksemburg, z nowoczesnej drukarni Sihl A. G. w Zürichu setki tysięcy egzemplarzy nowego, 702 numeru „ Die Weltwoche" rozpoczynały swą drogę ku 18 krajom obu półkul. Na pierwszej stronie obwieszczał Karl von Schumacher (podpisany jak zwykle KvS) tytułem swego artykułu że „Niemcy także są ludźmi". Niestety „Kuźnica" nie ma bezmała milionowego nakładu, a język niemiecki jest ciągle bardzo popularny na świecie. Oto jak się urabia opinię świata — „a Weltwoche" ma znaczny wpływ wśród prasy światowej!

Oto cytaty (podkr. moje):

„Mówi się dziś **wciąż jeszcze** o niemieckiej winie zbiorowej mimo, że to pojęcie wiele straciło ze swej **niegdyś** znacznej aktualności. Osobiście wierzę, że w tym pojęciu zbiorowej winy **jednak** jest coś słusznego.

„I Niemiec, jeśli **nawet** jest się **jeszcze** przekonanym o jego zbiorowej winie jest, abstrahując od jego przynależności państwowej, przecież także człowiekiem, jak każdy z nas.

„Austria i Niemcy tak długo nie mogą być uzdrowione, jak długo im się nie zezwoli stanąć na własnych nogach... Już pogłoski o przewidzianym zakończeniu okupacji wystarczą, aby obudzić wolę życia **a tym samym** symptomy uzdrowienia.

„W Niemczech bardziej niż w jakimkolwiek innym państwie Europy panuje śmiertelna martwota, która jeśli ma trwać długo, może doprowadzić do śmierci i niebezpiecznego rozkładu i dla wszystkich otaczających je państw.

„Jest rzeczą śmieszną mówić o demokratyzacji Niemiec, jak długo narodowi niemieckiemu nie będą dane istotne warunki każdej demokracji, tj. prawo samostanowienia.

„W jakiejkolwiek mierze byliby kolektywnie lub indywidualnie odpowiedzialni Niemcy, zostali za swoje czyny (Untaten) ciężko, można śmiało rzec, dostatecznie ciężko ukarani. Okupacja i wynikająca z niej dezorganizacja życia gospodarczego i politycznego a przede wszystkim bombardowanie, od którego Niemcy ucierpiały bardziej niż jakikolwiek inny kraj są naprawdę ciężką karą.

„Bywają wypadki, że zapominać jest niebezpieczeństwem, są jednak wypadki, że nie móc zapomnieć znaczy zahamować postęp".

P. S. W końcu marca br. odbył się w Zürichu proces przeciw jednemu z redaktorów „Die Weltwoche", Manuelowi Glasserowi, który wykazał (jak po klęsce Francji cała zresztą redakcja) proniemieckie nastawienie i sympatie do nazistów. Manuel Gasser został skazany na wysoką karę pieniężną, co jednak nie zmienia, jak widać, stanowiska tego świetnego skąd inąd pisma w sprawie niemieckiej.

mm

Godne podziwu i — oburzenia

Neo-faszystowski brukowiec mediolański — „Corriere Lombardo" wydrukował rozmowę z pewnym Ukraińcem, który pochwalił się, że on to właśnie jest sprawcą zamordowania gen. Karola Świerczewskiego, i zapowiedział, że dalsze akty terroru ze strony UPA nastąpią.

Jeżeli ten niezwykły „wywiad" nie jest tylko produktem fantazji mediolańskiego reporterzyny, wyznania ukraińskiego bandyty wywołać muszą w Polsce — i nie tylko w Polsce zdumienie i oburzenie. Nasuwają się trzy pytania, na które jak najprędzej chcielibyśmy się doczekać odpowiedzi: 1) jakie to czynniki umożliwiły bandycie z UPA przedarcie się przez wiele granic i wylądowanie aż na ziemi włoskiej; 2) jakim sposobem w piśmie, wydawanym na terytorium kraju, z którym Polska utrzymuje normalne stosunki dyplomatyczne, mogą się ukazywać „wywiady" z mordercami wybitnych obywateli polskich; i wreszcie — 3) czy i jakie kroki przedsięwzięły władze włoskie, bądź też nadzorujący je alianckli zarząd okupacyjny, celem aresztowania bandyty z UPA i wydania go w ręce sprawiedliwości polskiej?

b. d.

Dobrane towarzystwo

Policja włoska poszukuje gorliwie b. „prglawnika" hitlerowskiej Chorwacji — Pawelicza oraz ministra jego „rządu" — Krena. Jak stwierdzono, ukrywający się na terenie faszyści chorwaccy zostali zaopatrzeni w fałszywe paszporty przez ambasadę gen. Franco w Rzymie. Ponadto stwierdzono, że Pawelicz chodził dla niepoznanki w szatach duchownych.

Niewielkie, lecz dobrane, zaiste, towarzystwo: chorwaccy zbrodniarze wojenni, dyplomaci frankistowscy i — sfery kościelne, dostarczające Paweliczowi dogodnego przebrania. Do rządu włoskiego trudno mieć o to wszystko pretensje, skoro weźmiemy pod uwagę, że we Włoszech trwa okupacja anglo - amerykańska, nader pobłażliwa dla różnych Paweliczów.

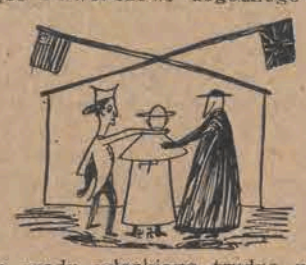

b.d.

O Niemczech we Francji

W Berlinie Francuzi organizują pokaz teatru klasycznego i wysyłają po 300 zaproszeń do Aliantów. 280 Anglików asystuje przy widowisku, Amerykanie zwracają grzecznie 275 biletów i wydelegowują 25 oficerów służbowo, Rosjanie proszą o 300 miejsc dodatkowych.

*

Pociąg amerykański Frankfurt — Berlin, wagon zarezerwowany dla nie-Amerykanów (Francuzi, Belgowie, Polacy, Niemcy i inni; wszyscy gorsi, bo słabi). O 17-ej przechodzi policja wojskowa: French? German? Francais. Francuzi, o piątej posiłek. Jedynie Amerykanie mają prawo wstępu do wagonu restauracyjnego, kiedy zechcą. Czujemy się jak zwierzęta w Zoo: o 17ej obiad, obiad tygrysa. A raczej — łani.

*

Zebrania, odczyty, Refren niemiecki: „Prosimy o pomoc Francji, tej Francji, której nigdy nie przestaliśmy kochać".

Mimo wszystko przebiega nas dreszcz.

*

Niemcy czekają na wojnę rosyjsko-amerykańską i niemal wszyscy jej pragną. Politycy i handlowcy spodziewają się, że Niemcy będą w niej mogły odegrać wielką rolę. Ale człowiek z ulicy nie zna ich obliczeń, albo robi je na własną rękę kierowany najbardziej niejasnymi uczuciami. Niemiec z 1946 roku, który jest człowiekiem bez przyszłości, wzywa w rozpaczy wojny, jak wzywał Hitlera: oto okazja do śmierci, skoro nie ma powodu do życia, wojna uwalnia od podejmowania osobistych decyzji.

Wojna przynosi szczęście, które płynie z bierności. Są tacy, którzy patrząc na własny zniszczony kraj marzą skrycie o większej powszechnej katastrofie czy to dla ponurej piękności tej perspektywy, czy też dlatego, że w świecie całkowicie doprowadzonym do ruiny powstałaby równość między narodami. Może wtedy wybiłaby godzina dla Niemiec, kto wie? (wg. A. Beguin „Esprit" nr. 2)

Hartmann

„Nowiny Literackie" w sześciu numerach nie zamieściły ani jednej recenzji z bieżącej produkcji literackiej. Opinia czytelników była jednak wyrozumiała. Nowopowstałe pismo zawsze miewa trudności z doborem materiału, zwłaszcza gdy niewielka ilość krytyków w Polsce nie oceniła dotąd jeszcze całej naszej produkcji wydawniczej z dziedziny literatury we wszystkich pismach literackich razem wziętych.

W numerze siódmym „Nowin" ukazała się pierwsza recenzja ze wznowionej przez „Wiedzę" przedwojennej powieści Heleny Boguszewskiej: „Całe życie Sabiny". Jak wiadomo powieść ta należy do najbardziej popularnych powieści dwudziestolecia i była wielokrotnie omawiana na łamach przedwojennej prasy literackiej.

Autor kolejnej recenzji w numerze siódmym „Nowin" niejaki p. Seweryn A. Hartmann nie zadał sobie nawet trudu, by przejrzeć to, co dotąd napisano o powieści Heleny Boguszewskiej i zapragnął wypowiedzieć swoje własne zdanie krytyczne. Niestety! — Pomijając zupełnie błahość sądów zawartych w tych kilkudziesięciu wierszach krytycznego bełkotu, odnajdujemy tam kwiatki, które przesłalibyśmy chętnie do działu curiosów, gdyby taki dział był w „Nowinach", a których nie przesyłamy do „Camery obscury" „Odrodzenia" tylko dlatego, że wolimy sami uwić z nich wieniec dla niejakiego p. Hartmanna.

Oto kwiatki, uszczknięte ze świeżej rubryki recenzji reprezentatywnego warszawskiego tygodnika: „Połóżmy książkę do szuflady. Po pewnej ilości lat, to co było koniunkturą uleży się jak stara bielizna".

Po cytowanym z powieści opisie psa, czytamy subtelną i wykwintną stylistycznie uwagę p. Hartmana: „W tym jest cały pies i cały obraz". Dalej: „Boguszewska szeroko operuje wonami: rzeczywistymi i urojonymi. Pachnie: „mężczyzną i papierosami"... Dalej: „Sabina należy do kobiet bluszczowatych, będących zwierciadłem mężczyzny". Dalej: „Jan, którego (Sabina — przyp. nasz) kocha bezkrytycznie (ale czy miłość może być krytyczna?) to błyskotliwy samczyk, pawi ogon".

Cytatów podobnych możnaby znaleźć więcej. Nie zajmowalibyśmy się recenzją p. Hartmanna, gdyby nie katastrofalny stan spraw recenzji w ogóle, a w „Nowinach" w szczególności. Ktoś niedopatrzył, nie przeczytał rękopisu p. Hartmanna. „Z każdej gliny da się ulepić arcydzieło" — jak mówi tenże. — Myślimy, że to nie jest prawda i że z gliny p. Hartmanna nic się nie da ulepić. „Niestety — sparafrazujemy p. Hartmanna — Hartmann nie natrafił na Pigmaliona".

P.S. Podajemy do prywatnej wiadomości Jarosława Iwaszkiewicza, St. R. Dobrowolskiego i Kazimierza Truchnowskiego, członków zespołu „Nowin", że o ile jeszcze jedna recenzja p. Hartmana ukaże się w „Nowinach", wydrukujemy wówczas recenzję tegoż z „Wierszy wybranych", „Pióra na wichrze" i ze „Zmowy Demiurgów". Będzie to zemsta czytelników „Nowin". Zemsta bowiem jest rzeczą słodką! rkm.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZEŃ:
Za 1 mm na 1 szpaltę 40 zł.
D—015910 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.